MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XI. Nr. 44. WARSZAWA, 13 WRZEŚNIA 1931 R. CENA NUMERU 80 GR.

O NASZYM INDYWIDUALIŹMIE

III

POTĘŻNY wpływ na umysły świata zachodniego, wywarła doktryna praw jednostki; dążenia indywidualistyczne znalazły w niej najpełniejszy wyraz przynajmniej w teorji. Doktryna błędna, bo na tej podstawie niepodobna jest zbudować społeczeństwa. Zarazem bardzo szkodliwa, bo prowadzi ona, wysuwając na pierwszy plan nienaruszalne prawa jednostki, do rozkładu trwałych związków społecznych. Jednakże w praktyce historja zwyciężyła doktrynę. W znacznej mierze nawet pod wpływem tych indywidualistycznych haseł zbudziły się w XIX wieku narody do silniejszego życia i wspólność narodowa na zbytnie zapędy indywidualistyczne nałożyła hamulce.

Nie wolno jednak uważać liberalizmu za kierunek, który pierwszy zwrócił uwagę na wartość indywidualnego życia. Nie zapominajmy o cywilizacji rzymskiej, która bądź co bądź stworzyła prawo nawet skrajnie indywidualistyczne. Religja rzymsko-katolicka podniosła wysoko wartość i znaczenie godności człowieka, nie pozwoliła traktować go tylko jako narzędzie kollektywnych celów. Uzasadniona w pełni reakcja przeciw liberalizmowi nie może iść tak daleko, by w jednostce widzieć bezduszne kółko mechanizmu społecznego, by lekceważyć te twórcze siły, które tkwią w indywidualiźmie, utrzymanym we właściwych granicach.

Społeczeństwo nie jest zbiorowiskiem jednostek, które jak chcą, określają swój stosunek do innych, które tyle z sobą mają wspólnego ile same zechcą. Dzisiejsze społeczeństwa zorganizowane są w narody; a wspólność narodowa jest związkiem świadomym, lecz nie dowolnym, sypkim, zależnym od woli osób, które się na naród składają. Wspólność narodowa jest wytworzona przez długie wieki; ma swoje idee, wierzenia, instynkty, przekonania; żyjące pokolenie nie jest samo dla siebie narodem, lecz tylko jednem pokoleniem narodu. By naród mógł istnieć i rozwijać się, musi przedstawiać pewien stopień jednolitości, pewien zasób cech wspólnych, przedewszystkiem pewne wspólne uczucia, których nikomu nie wolno ani znieważać, ani osłabiać. Naród dla urzeczywistnienia swych celów musi posługiwać się przymusem, czy to będzie przymus opinji publicznej, czy karząca ręka prawa. I dlatego kierunek narodowy przeciwstawia się liberalizmowi, apoteozującemu nienaruszalne prawa jednostki.

Z czego jednak składa się żyjące pokolenie narodu? Z żywych ludzi, w których tkwi przeszłość nie dająca się wymazać przez najsroższą nawet dyktaturę. Tylko zaślepiony doktryner będzie uważał naród za masę plastyczną, dającą się urabiać w dowolne kształty. Twórczy polityk czy wychowawca weźmie za punkt wyjścia istniejące już w konkretnym organiźmie właściwości jego zbiorowej psychiki i z nich będzie się starał wytworzyć

najlepszą kombinację. Tylko człowiek obłąkany może chcieć rządzić narodem wbrew jego przeszłości, nie mając wiary w jego żywotność i jego siły. I jeżeli np. w narodzie mocne jest od wieków poczucie prawa i zamiłowanie wolności, to trzeba z tych pierwiastków wydobyć siły, które naród mogą wzmocnić, a nie uda się przekreślić i podeptać tych pierwiastków.

Naród, w swym dziejowym pochodzie, winien dążyć do coraz wyższych praw zbiorowego bytu. Jednostki są częściami większej narodowej całości. Jej wartość zależy od wartości składowych części. Słabym jest naród, którego wspólność zasadza się wyłącznie lub niemal wyłącznie na podobieństwie składających go części, na jednorodnej bierności. Im wyższa jest świadomość narodowa, która łączy jedno nawet bardzo zróżnicowane żywioły, nieumiejące żyć własnem życiem, ten naród jest silniejszy.

Dla kierunku narodowego prawa jednostki nie mogą być ostatecznym celem. Nie mogą być czemś nienaruszalnem i niepozbywalnem. Ale kierunek narodowy musi wysoko cenić wartość indywidualności, zabezpieczyć jej swobodny rozwój. Wolność jednostek staje się w tem znaczeniu funkcją społeczną. Społeczeństwo, które ją zabezpiecza, na tej drodze osiąga wyższy stopień rozwoju społecznego. Jedną z podstaw kierunku narodowego jest przeświadczenie, że każda jednostka jest odpowiedzialna za losy narodu. Na każdym z nas ciąży ten obowiązek odpowiedzialności. A niema obowiązków bez praw.

Każdy ruch ideowy, każdy kierunek polityczny, dąży do tego, by narzucić innym swoje zasady i swoje poglądy, by urobić naród na swoją modłę. Chodzi jednak oto, na jakiej drodze i w jaki sposób. Naród nie może żyć, jeżeli pewne ogólne idee i uczucia nie są bezwzględnie przeprowadzone w jego zbiorowem życiu, w jego państwowej organizacji. Nikomu nie może być wolno podawać w wątpliwość całości państwa, podkopywać odwiecznych instytucyj, podstaw moralnych życia narodowego. Nikomu nie wolno być narzędziem obcych interesów, ani szerzyć idei, szerzących rozkład społeczny. Aparat państwowy przeciw tym wykroczeniom musi działać szybko i sprawnie. Nie wynika z tego, że kierunek narodowy, gdy ma władzę w swoich rękach, winien w drodze bezwzględnego przymusu narzucić społeczeństwu wszystkie swoje idee, a do każdej rozbieżności stosować represję.

Siła fizyczna jest nieodłączna od państwowej organizacji. Ale nie zawsze ta siła prowadzi do celu. Chcemy, by inni wierzyli w to, w co my wierzymy, by patrzyli na zagadnienie zbiorowego życia tak, jak my patrzymy? Starajmy się o to, by te idee i przekonania stały się ich własnem dobrem, by weszły głęboko w ich świadomość. Nie osiągnie się tego przez to, że się usunie z życia zbiorowego wszelkie walki ideowe, wszelką różnorodność, że każdą rozbieżność będzie się tępiło, jako herezję. Nie uznajemy nieograniczonego prawa jednostki do wolności słowa. Potrzebna jest cenzura, by tępiła zamachy na całość państwa, podkopywanie podstaw moralnych życia narodu, zniewagi jego zbiorowych uczuć. Ale jest absurdem, gdy za pośrednictwem cenzury chce się rozszerzyć wiarę we własną nieomylność, zabezpieczyć walor własnych przekonań przez to, że się niedopuszcza do ujawnienia się przekonań cudzych. Na tej drodze można wytworzyć tylko pustkę duchową, apatję, poziomy oportunizm. Wytępi się indywidualizm jednostek, ale równocześnie obniży się wartość idywidualności narodu.

Do tego prowadzą systemy rządzenia, które nieodróżniają państwa od rządu, ustalonych przez wieki zasad instytucyj narodowych od przejściowych interesów grupy rządzącej. Kierunki te nie wiedzą, czem jest organizacja narodu, co znaczy wychowywać naród; wszystkiem dla nich jest sam mechanizm rządzenia, z blaskami jego władzy i jego kasą. Tak rządzić może horda najeźdźców, obca owładniętemu przez siebie społeczeństwu. Niezawodnym wynikiem takich rządów jest zanik sił duchowych narodu.

Nałóżmy mocne szranki indywidualizmowi jednostek i różnych ciaśniejszych grup społecznych. Ale niechaj w ustalonych twardych granicach rozwijają się najpełniej indywidualności, bo one składają się na bogactwo narodu. Jednostka związana mocno z narodową całością, karna, gotowa do walki o wspólne idee, nie może zatracać treści własnego swojego życia. Nie może być całą jej siłą to, że jest do innych podobna.

Przesadna obawa przed hiperindywidualizmem nie powinna doprowadzać do osłabienia wysiłku umysłowego, do zatraty indywidualnych, duchowych wartości. Nowe idee nie powstają dzięki organizacji; one rozszerzają się przez organizację, ale tworzą je żywi ludzie pracą własnej myśli i uczucia. Rozwijają się one w walce i tylko wtedy, gdy w niej się zahartowały, mają trwałą doniosłość.

Zarazem przynależność do organizacji, do większej całości, nie może u składających się na nią jednostek doprowadzić do osłabienia indywidualnej odpowiedzialności za życie własne i za życie narodu. Są zadania, które spełnić może tylko organizacja. Ale wiele rzeczy człowiek sam może zrobić, wiele może zawdzięczać samemu sobie. W żadnej organizacji potrzeba bezwzględnej karności i hierarchji nie jest tak daleko posunięta, jak w armji wobec nieprzyjaciela; ale mimo to niektóre państwa najwyższe odznaczenia przyznawały za dokonanie czynów wojennych bez rozkazu, z własnej inicjatywy.

Nasza przeszłość, wbrew pozorom, nie uczy nas, by największem naszem nieszczęściem był rozwój indywidualizmu. A zarazem w współczesnej cywilizacji działają siły, które obniżają wartości duchowe jednostki. Niebezpieczeństwem tej cywilizacji jest standardyzacja. Nie tyle towarów, ile ludzi, urabianie społeczeństwa na jedną modłę, z jednolitemi potrzebami, by w ten sposób stali się oni łatwymi konsumentami masowej produkcji. W Stanach Zjednoczonych Am. Półn. doprowadzono do tego, że w obrót handlowy puszcza się tylko dwa gatunki jabłek i jeden gatunek gruszek. W parze z tą jednostajnością idzie ogromna jednostajność duchowego życia. A to obniża jakość cywilizacji.

W jednym z swoich djalogów Platon porównywa męża stanu do tkacza, który, tkając dywan, z najróżnorodniejszych kolorów wydobywa harmonijną całość. Tym tkaczem są dzisiaj zbiorowe idee i instytucje narodu. Całość narodowa wtedy będzie naprawdę piękna i bogata, gdy złoży się na nią bogactwo kolorów, to znaczy bogactwo indywidualności. Najłatwiej jest wykonać dywan w jednym kolorze; ale wart on będzie niewiele.

ROMAN RYBARSKI

NOWE TRAKTATY HANDLOWE NIEMIEC I PROBLEM WĘGIERSKI

PRASA niemiecka z nieukrywanem zadowoleniem komentowała niedawno dwa nowozawarte traktaty handlowe: austryjacko - węgierski i rumuńsko - niemiecki. Choć zawarte są one przez inne państwa, niemniej kryje się poza niemi jedna myśl polityczna.

Oba te układy są wcieleniem tej samej idei gospodarczej. Jedna strona udziela drugiej w ramach pewnego kontyngentu znacznych zniżek ceny. Austrja za zboże węgierskie, Węgry na produkty przemysłu austrjackiego. Niemcy na rzecz zboża rumuńskiego, Rumunja na rzecz przemysłu niemieckiego. Z jednej strony widzimy zatem państwa niemieckie, które mają zamiar zlać się w *Anschlussie* w jeden organizm gospodarczy, z drugiej państwa które ta pierwsza grupa państw ciągnie w orbitę swych wpływów.

Anschluss polityczny między Niemcami a Austrją ma być poprzedzony połączeniem gospodarczem. W związku z tem ciekawe są pewne postanowienia podpisanego niedawno traktatu węgiersko - austryjackiego. Ma powstać mianowicie osobna instytucja, której celem będzie finansowanie handlu między temi dwoma państwami drogą udzielania tanich kredytów eksporterom, wywożącym z Austrji do Węgier i z Węgier do Austrji. Jeden jej oddział mieścić się będzie w Wiedniu, drugi w Budapeszcie. W ten sposób państwa te zdają się wchodzić na drogę rozwoju wspólnych instytucyj gospodarczych. Zawieranie układów, które przynoszą takie postanowienia, jest nie do pomyślenia bez istnienia pewnej podstawy, bliskich węzłów politycznych, wspólnych celów.

Jakiego rodzaju cele mogą tu wchodzić w grę? Wiadomo, że Węgry są państwem, które miało największe okrojenia ze wszystkich państw centralnych (nie mówię tu o Austrji, która *de facto* przestała istnieć, jako państwo niezależne), okrojenia znacznie większe, niż Niemcy. Z tego powodu naturalnem jest u nich dążenie do rewizji granic. Dążenia te jednak nie mogą liczyć na żadne perspektywy, o ile Węgry walczyć będą o rewizję na własną rękę. Z tego też powodu dopóki rząd obecny uprawia politykę rewizjonistyczną, Węgry będą trwały w szeregu państw rewizjonistycznych, na czele których stoją Niemcy. Coprawda Węgry prowadząc realną politykę muszą wykorzystać poparcie innych państw — jak Włochy — które popierają ich postulaty, niemniej jednak, te węzły i zbliżenia są tylko incydentalne, podczas gdy współpraca z Niemcami jest dla polityki rewizjonistycznej węgierskiej, tak długo, jak ona trwa, drogą zasadniczą.

W ten sposób istnieje poważna podstawa do przyjęcia założenia, że Węgrzy, mając wzrok skierowany wyłącznie na poprawę swych granic, na innych polach będą szły na koncesje, wchodząc pośrednio i stopniowo na drogę realizacji celów polityki niemieckiej. Oprócz tego kryzys gospodarczy każe rządowi węgierskiemu szukać ulgi dla swego rolnictwa tam, skąd może ona przyjść.

Punktem ważnym są motywy, jakiemi powoduje się strona druga. Rola i cele obecne polityki austryjackiej nie są dla nikogo tajemnicą. Wyraźne światło rzuca na nie artykuł wydrukowany niedawno w „*Neues Wiener Journal*". Omawiając korzyści gospodarze, jakie wypłynąć muszą dla obu stron z traktatu handlowego austro - węgierskiego, autor jego pisze jednak:

„To, że ci Austryjacy, którzy dążą do współpracy austryjacko - węgierskiej działają nie z sentymentu, albo dla innego rodzaju ideologji, ale opierają się na realno politycznych i gospodarczych motywach, wiem z wielokrotnych osobistych doświadczeń. I wiem, że ci w tym duchu zorjentowani politycy i kierownicy życia gospodarczego zapatrują się na współpracę austryjacko-węgierską nie jako na twór skierowany przeciw Niemcom, ale jako na organiczne odgałęzienie germanizmu naddunajskiego, którego szczególną misję Bismarck wyraźnie ustalił, i którą ogłosił za konieczność".

Autorem tego artykułu jest hr. Pallavicini, osoba postawiona blizko węgierskich kół rządowych i legitymistycznych. Wszystko to nie jest rewelacją. Charakterystycznem jest tylko jak autor, zdając sobie, jak widać, dokładnie sprawę z tego jaką rolę Austrja odgrywa w zamiarach pangermanizmu, nie widzi w niej żadnego niebezpieczeństwa dla Węgier, wogóle nic niepożądanego. Naodwrót cały artykuł jest bardzo przyjazną oceną nowego traktatu i korzyści płynących z współpracy austryjacko - węgierskiej. Wynika z tego jasno, jak dla rewizjonistów węgierskich widmo hege-

monji niemieckiej jest znacznie mniej niebezpieczne, niż niebezpieczeństwo niepowodzenia ich celów.

Dawno jeszcze, zanim przystąpione do realizacji *Anschluss*'u, rozpoczęto powolną adaptację urządzeń i instytucyj, tak aby w odpowiedniej chwili złączenie obu organizmów przeszło bez bólu. Akcja ta zaszła tak daleko, że w wielu dziedzinach *Anschluss* jest już faktem dokonanym.

Analogicznie zupełnie zaczyna się teraz działać na Węgrzech. Znamiennym konkretnym krokiem jest tu ostatni traktat handlowy. Propaganda ideowo-polityczna rozwija się oczywiście swoją drogą, znajdując jaknajlepszy grunt na płaszczyźnie rewizjonizmu.

Tendencje trochę bezkrytycznie przyjazne dla Węgier, które pokutują u nas jeszcze dzięki pośrednictwu pewnych kół b. zaboru austro-węgierskiego a którym, rzecz znamienna, towarzyszą uprzedzenia w kierunku Czechosłowacji) przybrały u nas między innemi taką formę, iż tłumaczono, że unja austro-węgierska, ukoronowana ewentualną restauracją Habsburgów, będzie miała ten skutek, że wzniesie przeszkody na drodze do *Anschlussu*. Taka możliwość istnieje, ale prawdopodobieństwo jest małe, natomiast egzystuje znacznie większe, że unja austro-węgierska stanie się właśnie narzędziem polityki niemieckiej.

Nie trzeba przecież tracić z oczu tego, że unja Austrji z Niemcami jest już faktem dokonanym — że się tak wyrazimy—w sercach. Jeżeli przyoblecznie tego w kształty prawne nie nastąpi tak zaraz, to tylko z tego powodu, że utrzymanie formalnego rozdziału jest jeszcze potrzebne dla pewnych celów. Dla Niemiec bardzo korzystną byłaby taka sytuacja, żeby Austrja stała się niejako pośrednikiem dla ich wpływów.

Czy ta współpraca austro-węgierska ograniczy się do sfery gospodarczej, czy też przejdzie na polityczną w formie np. restauracji i unji personalnej, i tu i tam wpływy Austrji — czy Niemiec — wezmą górę, choćby dlatego, że kraj przemysłowy będzie zawsze dominował nad krajem rolniczym.

W obu traktatach handlowych jest jeszcze jeden punkt. Węgry i Rumunja, zawierając na własną rękę te traktaty handlowe oparte na zasadzie preferencji dla artykułów spożywczych, łamią solidarność bloku rolnego. Jeżeliby za niemi poszły i inne, dalsza egzystencja tego bloku byłaby pod znakiem zapytania. Polska pozostałaby odosobniona. Ponadto w państwach które podpisały wspomniane traktaty mówi się zazwyczaj, że preferencja udzielona tam nie podlega klauzuli największego uprzywilejowania. Takie postawienie sprawy stanowi w rezultacie poważną zaporę oddzielającą ją od państw trzecich bez względu na to, czy ma się z niemi traktaty handlowe, czy nie.

Znać tu za kulisami jedną i tę samą rękę konsekwentnie i umiejętnie pracującą nad odosobnieniem Polski czy to na polu politycznem, czy gospodarczem.

Ostatnie wypadki coprawda przerwały — albo opóźniły rozwój tych wszystkich koncepcyj.

Opinja jednak, że z chwilą upadku hr. Bethlena zaczyna się jakaś zasadnicza zmiana w celach i dążeniach Węgier, jest może przedwczesna. Zwrot ostatni został podyktowany względami czysto oportunistycznemi, jest wynikiem chwilowej konjunktury. Byłoby niezmiernie pożądanem, by nowy kierunek utrzymał się na stałe. Nie tak łatwo jednak i mężom stanu i narodowi pożegnać się z temi celami politycznemi, które tak głęboko zostały wkorzenione w umysły kierujących i w wyobraźnię mas.

AD. B.

U ŹRÓDEŁ SIONIZMU

(Dokończenie)

TO TEŻ uczestnicy kongresu w Bazylei, ożywieni temi samemi uczuciami, pogodzą się wnet, lecz negatywnie — przez wykluczenie kwestyj religijnych, zjednoczą się na platformie czysto politycznej. Zangwill czuje, że to za mało. Zbyt dobrze zdaje sobie sprawę z tego, że historyczna misja narodu żydowskiego była religijna, aby mógł poprzestać na zaprzeczającym jej kompromisie.

„Marzyciele Ghetta“ nie są zwykłym zbiorem nowel. Nić, wiążącą części w organiczną całość stanowią prócz historji także dzieje ewolucji autora, który poczuwa się do wspólności, z każdą rysowaną postacią, każdej daje coś z własnej duszy. Ten podkład subjektywny rzuca się na każdym kroku w oczy.

Z większemi lub mniejszemi różnicami wracają wciąż dwa typy — sceptyka czy niedowiarka (Urjel, Majmon, ryży posługacz z synagogi) i nieprawowiernego również w stosunku do mozaizmu myśliciela, który chciałby z mozaizmu i chrześcijaństwa stworzyć nową wielką religję. U Disraëlego myślał o tem Anglik, lord Tancred Montacute. U Zangwilla zmierzają do tego wybitne jednostki żydowskie.

Boć przecie Chrystus — myśl ta wraca raz po raz — był prorokiem żydowskim. „Misja Żydów nie skończy się, póki chrześcijanie nie zostaną nawróceni na religję Chrystusa“, mówi u Zangwilla Heine. Więc już w pierwszej noweli „dziecię Ghetta“ doznaje zachwycenia we wnętrzu kościoła św. Marka. W drugiej wychrzta-dominikanin, mający skończyć tak tragicznie — poczuwa się do posłannictwa nawrócenia Żydów — przez co położyłby także kres ich odosobnieniu, upodleniu i prześladowaniu. W praktyce usiłuje zostać reformatorem chrześcijaństwa. Spinoza rozwija teorje katolika Kartezjusza. Jako motto noweli o Heinem zacytowane są jego słowa „Jestem Żyd, jestem Chrześcijanin“ i choć już dalszy ciąg mieści bluźnierczy zwrot o „Arystofanesie niebios“, to tamta myśl będzie ustawicznie powracała — Heine stoi na granicy obu zasadniczych typów zangwillowskich. W jego usta wkłada autor bardzo trafne uwagi na temat pokrewieństwa między mozaizmem a protestantyzmem. Heine mówi do Angielki:

> Wyście apostołowie, wy Anglicy. Nawróciliście się do żydostwa za Cromwella,[1]) a teraz wasi misjonarze szczepią nasze palestyńskie doktryny pośród Mórz Południowych lub pośród chińskich bożyszcz i pagód wschodu, a wasza młodzież kolonizuje nieznane kontynenty, według zasad dekalogu Mojżesza. Zakłada się wszechświatową Palestynę. Prawo

[1]) Purytanie, zapatrzeni w Stary Testament, prawie zapomnieli o Nowym.

idzie z Sionu, lecz przez Liverpool i Southampton. Może jesteście naprawdę zaginionemi dziesięciu pokoleniami!...[2]) Luter był dziecięciem Starego Zakonu.

Przez usta Heinego również daje Zangwill wyraz przekonaniu, że ze Starego Testamentu wyrasta wszelki radykalizm:

Od wyjścia z Egiptu wolność mówiła zawsze akcentem hebrajskim... Lasalle jest lepszym wychowankiem Mistrza,[3]) niż wszyscy księża, co piętnują socjalizm.

Rzeczywiście socjalizm Lasalle'a przedstawiony jest, jakby rodzaj religji. Rozmyślania o Disraëlim rzucone są na tło kościoła w Hughenden, gdzie w obliczu jego pomnika odprawia się anglikańskie nabożeństwo i rozbrzmiewa żydowski psalm, do którego jeszcze przyjdzie mi wrócić.

Pod koniec książki — już po opisie kongresu sionistycznego — spotykamy trzy nowele, w których wracają zasadnicze typy w najczystszej formie. Najlepsza może pod względem artystycznym rzecz z całego zbioru, „Ten, co chciał przejednać chrześcijaństwo“, wprowadza uczonego — i to nie tylko w Piśmie — szewca Zussmanna, który ogłasza po hebrajsku książkę, udowadniającą, że męka Chrystusa była dziełem rządu, a nie ludzi, więc nie obciąża Żydów. Dąży nadto do przywrócenia Jezusowi należnego miejsca „w przesławnym szeregu proroków hebrajskich“. Zussmann cytuje filozofów nowożytnych, a używa także cytatów z Nowego Testamentu. Książka wywołuje niesłychane zgorszenie wśród prawowiernych Żydów z Whitechapel, a ich nienawiść prowadzi do bojkotu i niszczy dobrobyt Zussmanna, Lecz i on, i jego żona Hulda są z rodu marzycieli Ghetta. Dręczy ich nędza, Hulda popada w suchoty, lecz oboje łudzą się, iż rzucona idea zaczyna kiełkować. Znakomitym pomysłem jest postawienie u boku Zussmanna człowieka, który co do poglądu na świat stanowi jego przeciwieństwo — został za bezbożność usunięty z posady posługacza w synagodze. Atoli idealista przygarnął był wtedy materjalistę, więc z kolei ten roztacza nad nim opiekę. Aby móc mu pomagać, staje się nawet hipokrytą. Dostarcza mu zajęcia, a choć wciąż z nim dysputuje, stara się wprowadzić w czyn jego marzenie o wydaniu książki po angielsku. Nowela kończy się tragicznie. „Ryży posługacz“ przychodzi w nocy do Zussmannów z radosną wieścią, że zawarł umowę o przekład — i Hulda umiera w błogim uśmiechu na twarzy. Ryży posługacz ze łzami w oczach wychodzi na ulicę, wpatruje się w gwiazdy i powtarza swe ulubione zdanie, zaprzeczające najpopularniejszemu dowodowi istnienia Boga, „Natura sama się stworzyła“. Nagle spostrzega, że Zussmann „jest obok niego i patrzy w gwiazdy“. Czy i on utracił wiarę? Zapewne nie. Ci dwaj ludzie mimo wszystko pozostaną tem, czem byli. Obaj istnieją w duszy Zangwilla — tylko sceptycyzm jest żywiołowy, entuzjazm dla nowej religji wyrozumowany.

Widać to z noweli „Chad Gadya“. Do prawowiernych weneckich Żydów przybywa na święta Paschy syn, literat wiedeński — postać o silnym podkładzie subjektywnym. Z dziwnem uczuciem wsłuchuje się w słowa starego hymnu:

Tylko jedno koźlę, które ojciec kupił za dwa zuzim.[4])
I przyszedł kot i zjadł koźlę, które mój ojciec kupił za dwa zuzim.

[2]) Są rzeczywiście takie teorje.
[3]) T. j. Chrystusa.
[4]) Może *sous*?

I ukąsił pies kota, który zjadł koźlę, które mój ojciec kupił za dwa zuzim.

Przybywają coraz nowe ogniwa odwiecznej historji. Kij uderzył psa, ogień spalił kij, woda zagasiła ogień, wół wypił wodę, rzeźnik zabił wołu, anioł śmierci zabił rzeźnika, Bóg zabił anioła...

Uczeni w piśmie wyjaśniają „Chad Gadya“ jako alegorję niszczących się kolejno potęg (Egiptu, Chaldei, Asyrji i t. d.) Lecz dla wiedeńskiego literata hymn jest alegorją znikomości wszystkiego. Jego wiara znikła bez śladu, został tylko sentyment żydowski. Melancholijne słowa obrzędowe wprawiają go w nastrój spokojnej, łagodnej beznadziejności. Poco żyć i dręczyć się, gdy wszystko przemija? I literat, pozorując wypadek, rzuca się do Canale Grande, a z otwartych drzwi domu płynie jeszcze ostatnia zwrotka hymnu „Chad Gadya“.

Obie te nowele przedzielone są opowiadaniem o Żydzie malarzu, który był w Tyrolu na widowisku pasyjnem. Przygnębił go widok umęczonego Chrystusa, ale gdy rozchmurzyło się niebo, wytworzył on sobie własny obraz „radosnego Chrystusa“ i ten odtąd maluje, a w rozmowie z przyjacielem daje wyraz przekonaniu, że tenci był największy z żydowskich proroków, że więc chrześcijaństwo przybierze kiedyś pierwotną, żydowską formę.

W epilogu, zatytułowanym „Nowoczesny skryba w Jeruzalem“, Zangwill mówi już wyraźnie o sobie i od siebie. Oszukawszy czujność tureckiej warty, zakrada się w Wielką Sobotę do kościoła nad grobem Chrystusa. Patrzy na nabożeństwo obrządku wschodniego, na „sztucznie błyskotliwy (elaborately jewelled) rytuał, rozwinięty przez obce plemiona z prostego życia i nauki Jezusa z Nazaretu“. Woła przytem:

O Jezusie, bracie w Izraelu, może tylko ci, którzy wykluczeni są z tego Twego miejsca świętego świętych zdolni są Ciebie zrozumieć.

I tu wraca raz jeszcze zwątpienie metafizyczne. Budzi się w Zangwillu obrzydzenie do Jerozolimy, do świata. Ludzie zwracają się ku niebu ze słowem „Bakszysz“, niebo odpowiada „Mafisz“ (= niema nic).

To jeszcze odezwał się sceptyk — ów sceptyk, co dysputował z Zussmannem, co utopił się w Canale Grande. Lecz wnet umilknie. Uciszy go Zangwill w imię swej wyrozumowanej koncepcji religijnej.

Słyszeliśmy już o niej coś z ust zangwillowskiego Heinego, który potępiał chrześcijaństwo jako piękny sen, odłączony od życia. Jeden z mówców na kongresie w Bazylei scharakteryzowany był jako królewski marzyciel, ale żydowski marzyciel, co patrzy w oczy faktowi, że „kwiaty wyrastają z nawozu“. Nowa religja musi być zatem bardziej materjalistyczna, niż chrześcijaństwo.

„Nowoczesny skryba“ potępia znane religje jako operujące fałszem. Ale prawdziwa jest wiara wyznawców — t. j. sam fakt, że ludzie wierzą, zawiera pierwiastek pozytywny, twórczy na przyszłość!

Historja Chrystusa może być fałszywa, ale wyidealizowała rzeczy podstawowe — miłość, litość, poświęcenie, czystość, macierzyństwo.

Absolutnej prawdy religijnej niema.

Jakże mogłoby istnieć coś takiego? Równie dobrze możnaby powiedzieć, że język niemiecki jest prawdziwszy od francuskiego lub że greczyzna była czemś doskonalszem od mowy arabskiej.

A więc indyferentyzm czy sufizm — niedobry punkt wyjścia do tworzenia nowej wiary. Zangwill jednak stwierdza z emfazą. że przyszedł czas na nowe

wypowiedzenie się religijne, na nowy język dla wieczystych wzruszeń, na ujęcie ich w terminologję nowoczesnego kosmosu

Jakaż będzie ta nowa religja? Kontury jej są mgliste, początek definicji negatywny:

Nie będzie sprzeciwiała się ani jednemu faktowi, ani nie będzie przeszkadzała jakimkolwiek badaniom... Ów wiecznie żywy, w ciemności rodzący bobrajski duch miłości i prawych dążeń, ów Duch Święty, co był natchnieniem judaizmu i chrześcijaństwa, co jednakową podnietę dał mahometanizmowi i protestantyzmowi, musi teraz ożywić i oświecić nową wiedzę, która dotąd leżała martwa, poza ludzkością.

Na cześć tego nowego Boga, „którego imię a przeszłość, teraźniejszość i przyszłość to jedno", Zangwill wyśpiewuje na zakończenie pieśń. Nazywa go Jahwe. Ideały, jakie przynosi nowa wiara, to ogólnoludzki program masonerji (o której w całej książce niema wzmianki): „Miłość i sprawiedliwość, braterstwo litości, świętości i zdrowia". Trzebaby jeszcze dodać wieczysty pokój — Zangwill pisał później książki na ten temat. Podkreśla on wreszcie monistyczny charakter nowej religji.

Albowiem takie jest Prawo, surowe, niezmienne, promieniste. Czyni ono nawóz z dusz, z nawozu duszę.

Do czegóż posłuży ta nowa religja? O tem dowiadujemy się z „Marzycieli na kongresie". Słyszymy tam o dziejowej roli Żyda, o pośrednictwie między wschodem a zachodem, między starożytnością a duchem nowoczesnym. On,

synteza ludzkości, nasycona kulturą narodów, a teraz wracająca nakoniec do ojczyzny, obładowana duchowemi łupami, zdobytemi na świecie, aby światu wyświadczać dobrodziejstwa, założy idealne nowoczesne państwo, powszechne wiarą, sprawiedliwe wiarą, centrum sumień — nawet pod względem geograficznym — pośród świata, wpadającego w recydywę pogańskiego chaosu.

Wedle tradycji Żydów bułgarskich Mesjasz miał narodzić się 29 sierpnia. To była właśnie data kongresu w Bazylei i skorzystał z tego zbiegu okoliczności prezydent, wołając: „Dzielę tę wiarę. Dziś narodził się Mesjasz — to kongres!"

Jak wiadomo, Mesjasz miał dać Żydom królestwo ziemskie, panowanie nad światem. „Bądź władcą między nieprzyjaciółmi" mówi psalm, którego Zangwill słucha nad grobem Disraëlego.[5]) Jakkolwiek sioniści przeciwstawiają się ortodoksom, jakkolwiek przyjęli dla swej akcji platformę czysto nacjonalistyczną i polityczną, a nie religijną, niema wątpliwości, że doktryna ich wyrosła wprost z obietnicy danej Abrahamowi, rozwiniętej przez talmudystów w zapowiedź przyjścia Mesjasza, który zrobi Żydów władcami świata. I tu punkt styczny między sceptykiem Zangwillem a ślepo wierzącem i gubiącem się w nabożnej formalistyce Ghettem. Zangwill odrzuca formalistykę i zewnętrzną stronę kultu, zatrzymuje najgłębszą treść mesjaniczną i dla jej zrealizowania pragnie stworzyć nową religję.

Swoje *credo* wypowiedział w r. 1898, wypowiedział ostrożnie, kładąc w tytule wyraz „marzyciel" i powtarzając go często w tytułach i tekscie poszczególnych nowel. Lecz dziś, po trzydziestu trzech latach, podczas których niejedno z marzeń przyoblekło się ciałem i niejedno bardzo przybliżyło, rzecz przedstawia się o wiele realniej. Dlatego właśnie dobrze wydobyć z pyłu zapomnienia „Marzycieli" Zangwilla. Na ich podstawie łatwo wyjaśnić wiele tajemniczych zjawisk powojennego świata, na którego podbój idzie duchowe potomstwo Zangwilla.

Czy tylko narody aryjskie, których wrodzoną doktryną metafizyczną jest dualizm, pogodzą się z tem, że dusze mają przemieniać się w nawóz i powstawać z nawozu?

Lwów. WŁADYSŁAW TARNAWSKI

[5]) Aż twoje wszystkie zuchwałe wrogi
Dam za podnóżek pod twoje nogi...
w parafrazie Kochanowskiego.

WYCHOWANIE PAŃSTWOWE W PRZYSPOSOBIENIU WOJSKOWEM

„PRZYSPOSOBIENIE wojskowe" młodzieży szkolnej jest dziś w Polsce prawnie biorąc przymusowe, chociaż mało kto z tego sobie zdaje sprawę. Dziwnie cicho i bez echa w społeczeństwie przeszło lutowe w tej sprawie „zarządzenie Ministra W. R. i O. P. i Ministra Spraw Wojskowych". „Obeszło się" bez ustawy, choć w swoim czasie długo nad projektami ustawy debatowano. Warto jednak zainteresować się niewojskową stroną „przysposobienia wojskowego", niektóremi punktami „ideologji", w jakiej ma być młodzież polska wychowana. Czyniąc to, dla dobra prawdziwego wychowania obywatela-żołnierza, którego głosicielem był Zygmunt Balicki, nie potrzebujemy chyba podkreślać, jak dalece wielką wagę przywiązujemy do zagadnień obrony kraju, ani zastrzegać się, że występując przeciw wypaczaniu idei przysposobienia wojskowego i nadużywaniu jej do celów partyjnych czy koteryjnych, nie mamy bynajmniej zamiaru godzić w nią samą.

Zacznijmy od zapoznania się z wspomnianem wyżej zarządzeniem (z dn. 4 lutego 1931, Nr. I.W.F. 673/31, Dziennik Urzędowy Min. W.R. i O.P. r. 1931 Nr. 3, str. 86.)

„Celem p. w. w szkołach jest: a) wyrabianie w młodzieży czynnego patrjotyzmu, w szczególności zaś poczucia państwowego, wyrażającego się w gotowości poniesienia wszelkich ofiar w obronie Państwa; b) rozwijanie hartu woli, obowiązkowości i karności; c) pomnażanie sił fizycznych młodzieży przez nauczanie sprawności wojskowych i odbywanie ćwiczeń polowych; d) budzenie zamiłowania do służby polowej i przygotowanie do niej.

P. w. w szkołach prowadzone jest w hufcach szkolnych. Zajęcia z zakresu p. w. są obowiązkowe dla młodzieży męskiej tych szkół średnich ogólnokształcących, seminarjów nauczycielskich i szkół zawodowych, w których hufce zostaną ustanowione. Wybór szkół państwowych, w których mogą powstać hufce zależy od kuratora okr. szkolnego; kurator

udziela także pozwoleń szkołom niepaństwowym na utworzenie hufców. Obowiązuje p. w. młodzież klas VI i VII gimnazjum, kursów III i IV seminarium i odowiednich lat uczniów szkół zawodowych. Hufiec szkolny podlega dowództwu oficera, komendanta powiatowego p. w. Pedagogiczne kierownictwo hufca sprawuje nauczyciel, któremu powierzy je dyrektor. Komendant hufca, oficer, bierze udział w posiedzeniach rady pedagogicznej na prawach równorzędnych z innymi nauczycielami szkoły, ilekroć na porządku dziennym są sprawy wychowawcze, związane z zagadnieniem wychowania obywatelskiego, wychowania fizycznego i przysposobienia wojskowego.

Warunkiem ukończenia programu p. w. i uzyskania świadectwa II stopnia p. w. jest odbycie 2-3 tygodniowego przeszkolenia polowego w obozie p. w. Program szkolny powinien przeznaczać na zdjęcia p. w. 2 godziny tygodniowo, ponadto w ciągu roku raz dwa, drugi raz trzy dni na całodzienne ćwiczenia polowe.

Obozy letnie organizuje M. S. Wojskowych, w porozumieniu z Ministerstwem W. R. i O. P. Młodzież podlega w obozach przepisom i regulaminom wojskowym, korzysta z bezpłatnych przejazdów, wyżywienia w obozie i innych świadczeń władz wojskowych. Do każdego obozu kurator deleguje kierownika wychowania fizycznego, którego zadaniem jest również sprawowanie opieki i nadzoru pedagogicznego".

Oto najistotniejsze punkty zarządzenia o p. w. Zwróćmy uwagę na określenie celu p. w, a musimy stwierdzić, że w nim na pierwszy plan wysunięto t. zw. „wychowanie państwowe", oraz na rolę komendanta hufca, oficera, któremu przysługują prawa członka rady pedagogicznej nietylko w sprawach ściśle fachowych wojskowych, ale i w związanych z zagadnieniem wychowania obywatelskiego", co oczywiście można interpretować bardzo szeroko.

Wszystko byłoby w porządku, gdyby to „p.w." chciało chodzić szerokiemi drogami służby narodowej i uczenia współżycia i współpracy wszystkich dla dobra narodu. Czyż jest inaczej? Nie przesądzamy, a jednak wielkie obawy w tym względzie budzi atmosfera, w której żyją i działają ci, którym dzisiejszy rząd sprawy p. w. powierzył, atmosfera tego środowiska, które pretenduje do wyłączności p. w. wogóle, krótko mówiąc „Strzelca".

Trzeba sobie bowiem zdać sprawę z tego, że omawiane zarządzenie w sprawie p. w. jest tylko etapem w planie, obliczonym na dalekią metę, a przeprowadzanym tak powoli, m. inn. dlatego, aby nie wywołać odporu społeczeństwa. Najpierw wprowadzono w szkołach p. w. ochotnicze (w r. 1922), przed kilku miesiącami obowiązkowe, a gdy się je zrealizuje, przyjdzie następny etap. Nie robi się nawet z tego tajemnicy, trzeba tylko zajrzeć do właściwych czasopism.

Oto w „Pracy Strzeleckiej" (r. 1930, Nr. 1, str. 10) mjr. Ignacy Wądołkowski, jeden z oficerów zajmujących wybitniejsze stanowisko w Państwowym Urzędzie Wychowania Fizycznego i przysposobienia wojskowego taki ogłasza projekt:

„Wśród młodzieży przedpoborowej pozaszkolnej w wieku 17-21 lat powinien mieć prawo wyłączności Związek Strzelecki.. Dla młodzieży szkolnej w tym samym wieku muszą istnieć hufce szkolne, jako organizacja oddzielna... Natomiast młodzież poniżej lat 17, zarówno szkolną jak pozaszkolną, objąć winno harcerstwo".

Wiadomo skądinąd, że harcerstwo dla tego celu miałoby być upaństwowione.

Nie jest to prywatna koncepcja p. Wądołkowskiego ów monopol Strzelca, harcerstwa i hufców szkolnych. Wskazuje na to agitacja, jaką się w tej materji prowadzi w pismach i ustnie.

W n rze 4: tejże „Pracy Strzeleckiej" na str. 14 mamy już nawet dalsze rozwinięcie planu: Przeprowadza się reorganizację p. w., po której: Związek Strzelecki jest organizacją państwową przysposobienia wojskowego i wychowania fizycznego dla wszystkich przedpoborowych i ewentualnie rezerwy; dla Wielkopolski, Pomorza i Śląska taką organizacją jest Związek b. Powstańców i Wojaków. Związek Harcerstwa jest organizacją państwową p. w. i w. f. dla młodzieży do lat 16, Hufce szkolne — dla młodzieży szkolnej. Wszystkie inne organizacje nie są uznane i upoważnione do prowadzenia p. w. i w. f. Po przeprowadzeniu tej reorganizacji możnaby było przystąpić do wprowadzenia p. w. przymusowego do czego trzeba „przewidzieć okres od 1930 do 1935 r. jako okres przygotowawczy".

Krótko mówiąc, według tych planów, po przeprowadzeniu przymusowego p. w., cała młodzież i cała życiowo najbardziej aktywna część społeczeństwa męskiego byłaby podporządkowana wojskowej organizacji w oddziałach p. w. lub w służbie czynnej.

O żeńskiej części też się nie zapomina, organizując równoległą akcję „przysposobienia kobiet do obrony kraju", i dla niej projektując" przymusowość w pewnym zakresie.

Jeżeli do tego dodamy, że owo zmonopolizowane w „Strzelcu" przysposobienie wojskowe ma być, według planów p. Wądołkowskiego, podporządkowane, wzorem amerykańskiej *„National Guard"* cywilnym władzom administracyjnym (w Ameryce gubernatorowi stanu), a zatem zapewne ministrowi spraw wewnętrznych, „który ma prawo użyć (go) w każdym wypadku, w którym uzna za stosowne, jak n. p. jakieś zamieszki, powódź, bunt więźniów i tp.", łatwo sobie wyobrazimy, do czegoby mogło być używane u nas, gdzie „kadra zawodowa boryka się ze społeczeństwem", a to, co się działo w czasie wyborów, tak oświetla specjalista „Pracy Strzeleckiej" od „sytuacji wewnętrznej":

„Trudno odsunąć od siebie wrażenie, że środki zastosowane przez Marszałka w tej (wyborczej) walce były tak niezawodne i tak jedynie słuszne, że poprostu nie można było zrobić nic innego lub inaczej, że to tak właśnie musiało być. Zwycięstwo odniesione przez Marszałka Piłsudskiego ma już dzisiaj wdzięk stuprocentowej prostoty... (Praca Strzelecka, Nr. 7, str. 19, art. W. S. „Sytuacja wewnętrzna").

Zajmijmy się teraz nieco atmosferą ideową, w której żyją ludzie dzisiaj kierujący p. w. Czytelnik wybaczyć raczy przydługie cytaty, nie mamy jednak innego sposobu rzucenia snopu światła na ludzi i czynniki, które usiłują wywierać bardzo doniosły wpływ na młodzież.

Tenże sam p. mjr. Wądołkowski w uzasadnieniu konieczności monopolów p. w. pisze:

„Wobec tego, że p. w. jest zagadnieniem obrony państwa, nie może być ono traktowane z punktu widzenia klasowego, narodowościowego (nasze podkreślenie), wyznaniowego lub zawodowego. Niejednokrotnie już wspominałem, iż taki stan rzeczy spowodować może łatwo, iż naprzykład jakieś stowarzyszenie restauratorów, powołane dla obrony interesów osobistych i kieszeni ich członków, zgłasza się do p. w., zostaje wyszkolone i uzbrojone. Wyobraźmy sobie, co będzie, gdy władze państwowe wprowadzą ustawę probicyjną, która będzie godzić w interesy restauratorów, a ci z bronią w ręku wystąpią czynnie przeciw temu zarządzeniu.

„Analogicznie będzie, gdy potraktujemy sprawę z punktu widzenia wyznaniowego. Możemy również spotkać się z faktem, iż wprowadzenie przez władze państwowe (ślubów cywilnych lub rozwodów co będzie sprzeczne z dogmatem lub przepisem jakiejś religji), spowoduje wojnę religijną, w której udział mogą wziąć uzbrojeni członkowie stowarzyszeń kościelnych"

Uderza w tem fakt, z jakim p. Wądołkowski na jednym poziomie traktuje w swoich fantazjach „stowarzyszenie restauratorów" walczące o moż-

ność napełniania kieszeni przez rozpajanie ludzi, i „stowarzyszenia kościelne” mogące ewentualnie wystąpić w obronie wiary. P. Wądołkowski udaje, że nie wie, że „jakaś religja” nie uznająca rozwodów i ślubów tylko cywilnych, to Kościół Katolicki, któremu Konstytucja przyznaje w Rzeczypospolitej „naczelne stanowisko wśród równouprawnionych wyznań”.

Czyż to nie zdumiewająca insynuacja, że związki katolickie mogłyby nadużyć wyszkolenia wojskowego, otrzymanego dzięki pomocy państwa— do walki z tem państwem. Gdy p. mjr. Wądołkowski szukał przykładów na możliwe nadużycie przysposobienia wojskowego nie przyszło mu na myśl wymienić Rusinów lub Żydów, wyszkolonych w hufcach szkolnych: Ci mają z góry patent na lojalność.

A trzeba wiedzieć, że p. mjr. Wądołkowski jest właśnie kierownikiem referatu stowarzyszeń w Państw. Urzędzie W. F. i P. W. Ten jeden przykład, może przypadkowo szczere, a nieostrożne wypowiedzenie się, jakże jaskrawo świadczy o rozumieniu przez p. majora roli religji i Kościoła.

Nie może też być p. w. „traktowane z punktu widzenia narodowościowego“ chociaż p. prezes „Strzelca“ Anusz pięknie zapewnia, że chodzi o „przygotowanie moralne i fizyczne całego narodu do militarnej obrony państwa“ (Praca Strz., 1930, Nr. 1), a p. Minkowski niema wątpliwości, że „bez wyjątku wszyscy, którzy nie podlegają sugestjom partyjnym, a dla których bezpieczeństwo Rzeczypospolitej jest nakazem najwyższym w szeregach Zw. Strzel. znaleźć się mogą“. Trzeba przecież tak mało, trzeba tylko, aby obóz narodowy wyzbył się swoich przekonań, aby uznał, że tylko i jedynie rację mieli i mają poddani p. Piłsudskiego, że tylko oni byli i są i będą szczerymi, rozumnymi i uczciwymi patryjotami, a reszta to ugodowcy i sprzedawczycy — a nastąpi święta zgoda. Przecież „powstanie paradoksu“, że „Obozem Wielkiej Polski“ przezwali się Ci, którzy sami może dotąd nie mieli możności wykazać się czynami przy budowie „Wielkiej Polski“, ale którzy czerpią swą inicjację z dawnego obozu ugody jest zjawiskiem dającem się umotywować jedynie całkowitem pomyleniem pojęć“ (tamże, Nr. 5, str. 32, art. A. Minkowskiego „O Wielką Polskę“. Rasa polska tak się wysiliła, aby stworzyć obóz sanacyjny, że już nie stać jej na osobniki bez „pomylonych pojęć” poza nim. Wogóle niema o czem gadać, wszystko „bez głowy”:

„Uderzającym musi być dla każdego inteligentnego umysłu fakt, że nasze partje nie wyprodukowały żadnej literatury publicystycznej, zdradzającej obecność w ich łonie intelektu... N. D. może się poszczycić mało przytomnemi łamańcami Stanisława Grabskiego i ramotami Dmowskiego, nie znajdującymi uznania już nawet w łonie partji. Obraz to okropnej nędzy“. (Pr. Strz., Nr. 7, str. 21, art. W. S.).

Natomiast obóz sanacyjny może się poszczycić takiem np. dziełem, wydanem przez Ministerstwo Oświaty, jak p. Hanny Pohoskiej „Wychowanie obywatelsko-państwowe”, wycofanem z księgarń wkrótce po wyjściu z druku, po druzgocących recenzjach.

Zdaje się, przekonałem najbardziej upartych, że pod względem politycznym nie nadajemy się do „Strzelca”, co się zatem z nami stanie przy wprowadzeniu przymusowego p. w.? Brześć będzie za ciasny.

Ale może przynajmniej społecznicy na coś się przydadzą, może przynajmniej w „pracy organicznej“ coś się robiło i robi? Gdzie tam, próżne złudzenia. Porównajmy oceny dwóch organizacyj, podane znów przez specjalistę strzeleckiego, tym razem p. Regulskiego.

„Towarzystwo Uniwersytetów Robotniczych, będące na usługach idei supremacji klasy robotniczej, chce przez oświatę przygotować kadry bojowników nowego klasowego ustroju, dając im określony światopogląd, jako psychiczną podstawę przyszłych działań, zmierzających do przebudowy życia społecznego w myśl wyznawanej idei“. (Praca Strzelecka Nr. 3, str. 9, artykuł W. Regulskiego, p. t. Kierunki w oświecie pozaszkolnej)“.

Chyba nikt nie zaprzeczy, że o T. U. R. organizacji wyraźnie partyjnej i tym charakterem szczycącej się, wyrażono się tu z kurtuazją, jeżeli nie z mniej lub więcej maskowaną sympatją. A posłuchajmy co się mówi o Macierzy Szkolnej: „Polska Macierz Szkolna, jako organizacja „dobrodziejów ludu“, starać się będzie o utrzymanie rozwoju umysłowego mas na poziomie zależności tych mas od „dobrodziejstw“, jakich im ona udziela“ (tamże).

Co za szczęście, że nareszcie znalazł się ktoś kto tak trafnie ujął ideologję Macierzy!

Żarty na bok. W jakim duchu prowadzi się pracę w organizacji pretendującej do monopolu przysposobienia wojskowego zdaje się dostatecznie wskazaliśmy. Nie są to zresztą rzeczy nowe. To jest tylko charakterystyczne, że bez obsłonek mówi się tu o planach takiego ujęcia społeczeństwa w formy militarne, aby już żadnego nie mogło stawić odporu. „W razie czego“ wojewoda „użyje p. w.“, czyli zmobilizuje, kogo będzie trzeba i postawi na baczność.

To jednak dotyczy tylko dorosłych. Pomyślano, jak już przedstawialiśmy wyżej, i o młodzieży. A oto dyrektywy wychowawcze:

„Apolityczność wychowania... to fałsz lub obłuda. Sprawę trzeba stawiać zupełnie wyraźnie. Polityki z wychowania usunąć się nie da, a próby w tym kierunku czynione, w ten czy inny sposób, muszą fatalnie odbić się na dziele samego wychowania. I dlatego „Strzelec“ uważa, że wychowanie obywatelskie, rozumie jako wychowanie państwowe, jako wychowanie polityczne, musi być podstawą działalności wszelkich instytucyj wychowawczych. Jeżeli tak nie jest — to praca ich nie może wydawać rezultatów społecznie owocnych.“

„...Zasada apolityczności wychowania i nauczania najgłośniej rozlegała się u nas w dobie niewoli“. Z jednej strony oddziaływała w tym duchu szkoła zaborcza, ale i „społeczeństwo wyrosłe w niewoli, nie śmiejące marzyć o zdobyciu wolności ...wobec braku wiary w skuteczność samodzielnej polityki wolało się jej wyrzekać... Młodzież poszła za tymi, którzy nie bali się polityki i znalazła się w obozie walki o niepodległość. Hasło apolityczności głoszone podówczas przez narodową demokrację, domaganie się, by w procesach wychowawczych odsunąć jaknajdalej czynniki życia politycznego... było uznawaniem polityki państw zaborczych“. (Praca Strzelecka“, 1930, Nr. 7, str. 32 i in., artykuł Aleksandra Hertza, „Polityka a wychowanie“).

I tu sprawa postawiona jasno. Młodzież ma być wychowana politycznie w duchu „państwowym“. Obóz narodowy, jako skompromitowany: ugodowością, popieraniem polityki państw zaborczych, brakiem „intelektu“, ogłupianiem maluczkich (patrz: ocena działalności Macierzy) zostaje odkomenderowany do lamusa, a cały naród, od dzieci poczynając aż do starych rezerwistów włącznie zostaje poddany jedynym wpływom peowiacko-strzelecko-sanacyjnym.

Na szczęście narodu jeszcze nie wszystko da się postawić na baczność, a młodzież dzisiejsza nie leci na lep frazesów.

M. D.

NA WIDOWNI

Śmierć ś. p. Wiktora Jarońskiego. — Życiorys. — Deklaracja narodowa ś. p. Jarońskiego. — Skąd jego duch? — Środowisko. — Dziedzictwo kulturalne. — Pozycja dwu światów. — Z ducha dla ducha.

Z NIEPOKOJEM oczekiwaliśmy wiadomości z Kielc o stanie zdrowia Wiktora Jarońskiego. Po powrocie z Zakopanego od paru miesięcy nie opuszczał swego domu. W miarę posuwania się choroby tracił związek psychiczny z tym światem, a ci, co się z nim stykali, mieli wrażenie, że żyje w świecie już innym, zachowując w pełni jasność umysłu. Nie chciał, by ludzie widzieli, w jakim opłakanym jest stanie jego żywot fizyczny. Umierał, jak rzymianin, zasłaniając oblicze. Było to zgodne z jego naturą wrażliwą estetycznie i z jego stoicyzmem. Nie udało mi się go widzieć, gdym przybył w sobotę do jego domku na ulicy Bodzentyńskiej. Czekałem w sadzie pełnym owoców, znanym mi jeszcze z czasów dzieciństwa, kiedy żył zacny jego ojciec Feliks, muzyk, towiańczyk, marzyciel, obraz romantyka z czasów Mickiewicza i Szopena. Dzisiaj sad zdziczały, przerośnięty. Przez okwiecony ganek przynoszono mi o nim wieści. Prosił, żeby go nikt nie odwiedzał. Było to w sobotę przed wieczorem, a w niedzielę rano, 6 września, już nie żył.

Był właśnie w Kielcach zjazd jego kolegów szkolnych. Na odezwie Komitetu zjazdu widniało nazwisko Wiktora Jarońskiego.

Wiadomość o śmierci Jarońskiego poruszyła do głębi serca przyjaciół; żaden Polak nie przyjmie jej obojętnie, nazwisko jego bowiem znane jest wszystkim z czasów ostatniego przełomu dziejów naszych; każdy, kto go znał, żywo odczuje stratę. Zmarł człowiek, którego się kochało, zasłużony narodowi, niepospolity wytwór kultury polskiej.

— — — — — — — — — — — —

Życiorys ś. p. Wiktora Jarońskiego jest krótki. Urodzony w Kielcach 1870 r., tutaj (gdzie urodził się jego ojciec i dziad Józef, sędzia apelacyjny) chował się i kończył szkołę klasyczną (1890). Studjował nauki na wydziale prawnym uniwersytetu warszawskiego. Był jakiś czas sędzią pokoju w Niewachlowie pod Kielcami, potem adwokatem. Czterokrotnie wybierany przez ludność miejscową na posła do Domy petersburskiej, pełnił godnie tę misję do r. 1917. Po powrocie do wolnego już kraju w r. 1818 osiadł w Kielcach i tutaj był sędzią Sądu Okręgowego, a na szerokim świecie politycznym zaginęły o nim wieści.

Od ławy uniwersyteckiej należał do kadrów ówczesnych organizacyj patrjotycznych: do Związku Młodzieży Polskiej, a potem do Ligi Narodowej.

Człowiekowi temu, nie mającemu zgoła pretensji do rozgłosu i stanowisk, danem było odegrać w dziejach narodu wybitną rolę. Posłem był z ramienia stronnictwa Demokratyczno-Narodowego. W r. 1914 powołano go do Komitetu Narodowego. W tym podwójnym charakterze działał po wybuchu wojny w Petersburgu. Członkowie Koła Polskiego — jako że były wtedy ferje letnie — rozproszeni po kraju i zagranicą, nie stawili się na otwarcie śpiesznie zwołanej Dumy, gdzie Polacy zająć byli winni zdecydowane wobec wojny stanowisko. Jaroński zrozumiał odrazu, że Polacy muszą tam być i wypowiedzieć się. Przebył ciężką chwilę decyzji i nie uląkł się odpowiedzialności.

W d. 8 sierpnia złożył w Dumie zredagowaną przez siebie deklarację w imieniu Koła Polskiego, a więc w imieniu całego zaboru rosyjskiego, a właściwie Narodu, w tych słowach:

„Moment historyczny nieodzownego zderzenia słowiaństwa z germańskim światem, prowadzonym przez Prusy, naszego wroga odwiecznego, uwydatnia tragiczne położenie Narodu Polskiego, pozbawionego niepodległości oraz możności swobodnego ujawnienia swej woli. Tragizm ten polega nietylko na przeistoczeniu kraju naszego w widownię wojny i wszystkich jej okropności, lecz w dodatku na fakcie, iż rozdarty na trzy części Naród Polski ujrzy swe dzieci we wrogich sobie obozach. Mimo podziału naszej ziemi winniśmy stanowić jedną całość przez uczucie i życzliwość dla Słowian. Poza słusznością sprawy dyktuje nam zajęcie tego stanowiska także zmysł nasz polityczny. Światowa doniosłość chwili, którą przeżywamy, musi odsunąć na dalszy plan wszelkie porachunki wewnętrzne. Niech za pomocą Bożą słowiaństwo pod egidą Rosji odeprze Teutonów, podobnie jak pięć wieków temu uczyniły to pod Grunwaldem Polska i Litwa! Oby krew przez nas wylana oraz okropności tej bratobójczej dla nas wojny doprowadziły do zjednoczenia rozerwanego na trzy części Narodu Polskiego“!

Może prezes Koła Polskiego Dmowski (zatrzymany był wtedy zagranicą) sformurowałby w motywach inaczej tę deklarację, ale nikt lepiej nie ująłby istoty rzeczy. Ś. p. Jaroński wykazał w tych paru słowach i serce swoje dla sprawy i rozum stanu i takt, a jeśli się pomyśli o jego ściśle osobistem położeniu, wykazał wielką odwagę. Łatwiej nam dzisiaj orjentować sie w zdarzeniach i widzieć linję historyczną Polski, jak się przez te zdarzenia trafnie przebiła, ale w owej chwili krytycznej wszyscy mieli ciemności przed oczyma. Jaroński wiedział, jaką na wiosnę po naradach drogę wytknął Dmowski, ale co do momentu i formy decyzję powziąć musiał sam, biorąc na siebie odpowiedzialność wobec opinji kraju, zupełnie niezorjentowanego politycznie, zdanego jedynie na głos instynktu. Wiedział przecież, jak radykalnie łamie utarte przez wiek XIX hasło walk polskich. Przebył tedy w duszy ciężkie zmaganie, żeby wydobyć z siebie decyzję za głosem odwiecznego Polaka. Przyszedł bowiem czas, który rozstrzygać miał o dziejach całości Polski.

Odezwała się w Jarońskim stara kultura polityczna małopolska zbierających ziemie polskie w jedną całość Piastów. W formule jego można dopatrzeć się barwy romantycznej słowiańskości, która mu się nasunęła jednak ze względów taktycznych. Głównym wszakże momentem aktu była odwaga, motyw etyczny, płynący z poczucia, że trzeba w takiej chwili wziąć na siebie odpowiedzialność, odwaga cywilna, mogąca się mierzyć z bohaterstwami rycerskiemi.

Historja nie szczędzi mu za to uznania. Roman Dmowski w dziele swojem „Polityka Polski i odbudowanie państwa polskiego“ pisze o tym jego akcie:

„Nigdy w życiu żaden nasz krok polityczny tak mię nie ucieszył. Przyjaciel mój, poseł kielecki, powiedział w swej deklaracji to, co należało powiedzieć w owej doniosłej chwili. Wypowiedział dążenie nasze do zjednoczenia ziem polskich, postawił program wojny w sprawie polskiej i postawił go w formie, która wytrąciła broń z ręki przeciwnikom wojny germanofilom rosyjskim“.

Marjan Seyda w I tomie swego dzieła „Polska na przełomie dziejów“ dodaje:

„Lapidarne sformułowanie najistotniejszego postulatu narodu polskiego i śmiałe z nim wystąpienie przed *forum* rosyjskiej, a zarazem światowej opinji publicznej pozostanie tem większą zasługą Jarońskiego, że nie było wówczas w Piotrogradzie kolegów jego z Koła poselskiego, tak, że

odpowiedzialność spadała na niego samego. Zbyteczne jest udawadniać, że rosyjska opinja publiczna nie była w sierpniu 1914 roku dojrzała do tego, by można było wobec niej wystąpić otwarcie z programem niepodległości Polski". (s. 184)

Dobrym politykiem w potocznem rozumieniu jest ten, kto umie robić posunięcia taktyczne. Ale myśleć o bycie narodu i decydować może tylko ten, kto ma poczucie tragizmu dziejów. W deklaracji Jarońskiego ten moment nie był tylko zwrotem retorycznym. On czuł tragizm chwili — i tu się wyraziła głęboka kultura jego serca narodowego.

— — — — — — — — — — — —

Co do tej kultury. Ś. p. Jaroński był świadectwem, że artyzm ją pogłębia, czyniąc duszę wrażliwą na tragizm. Trzeba jednak coś dziedziczyć, żeby artyzm miał co pogłębiać. Dla niego „niepodległość", „zjednoczenie" nie były hasłami sezonowemi, konspiracyjnie ukutemi. On te idee miał we krwi, dziedziczone w instynktach po ojcach, gospodarzach Polski.

Jakież było środowisko ś. p. Jarońskiego?

Ojciec Feliks — muzyk, kompozytor, tworzył piękne dumki i szumki za podnietą pewno B. Zaleskiego, z którym się poznał w Paryżu. Wychowany w atmosferze Szopena, uczeń Elsnera i Kurpińskiego był romantykiem w muzyce i w życiu. Razem z Andrzejowskim, ojcem żyjącego Józefata, należał do Koła Towiańskiego, wierny do śmierci jego wyznawca. Dziad Wiktora, Józef, był sędzią, a bratem był słynnego filozofa w Krakowie ks. Feliksa Jarońskiego (1777 — 1827), ożeniony zaś był z Juszyńską, siostrą badacza dziejów literatury ks. Michała H. Juszyńskiego (1760 — 1830). Ojciec Wiktora ożeniony był z Głowacką Stefanją. To znowu łączyło dom Jarońskich ze światem malarskim, bratem bowiem Jarońskiej był słynny w swoim czasie malarz Jan Nepom. Głowacki (1789—1858), druga jej siostra, Anastazja, wyszła za malarza Rafała Hadziewicza (1806 — 1866), tzecia zaś, Ludwika, była żoną przemysłowca Gropplera w Konstantynopolu, który był ciotecznym bratem Jana Matejki.

Stąd w domu ś. p. Wiktora wiele obrazów, piękne dzieła Matejki (portret Gropplera, który powinien teraz się dostać do Muzeum Narodowego), stąd szczególna atmosfera, którą oddychał całe życie Wiktor Jaroński. Unosiły się w niej pierwiastki romantyki, emigracji paryskiej, towjanizmu, orjentalizmu Gropplerów, zapach farb malarskich Głowackich i Hadziewiczów, zamarłe dźwięki muzyki szopenowskiej w salonach warszawskich z czasów Bogusławskiego, Elsnera i Kurpińskiego.

— — — — — — — — — — — —

Lubię rozumieć duszę człowieka, w jakiej mierze rozkłada się na dwa światy — na ten zewnętrzny, do zdobywania przeznaczony i na wewnętrzny, w który człowiek cofnąć się może z upodobaniem, tamtym światem gardząc. Jaroński miał świat wewnętrzny, tak pięknie przez wychowanie i z samej atmosfery środowiska wyposażony, że mało wychylał się na zewnątrz i nie miał wcale ochoty walczyć o miejsce dla siebie między ludźmi.

Z pobłażliwym uśmiechem patrzył na arenę życiową, jak człowiek, który zna rzeczy lepsze. Umiał żyć z sobą sam na sam i w rozmyślaniach dawać kształty swemu światu idej i tęsknot. Był artystą, któremu nawet zbędną wydaje się osobista twórczość To go osłabiało w pozycji życiowej, ale w poczuciu własnem wynosiło ponad przeciętność, to dawało mu urok w oczach tych, którzy bliżej go poznali.

Pomyśleć tylko, jak dalekim jest tego typu kulturalny człowiek od możności, nie tylko chęci, robienia kompromisów. Co mu kto mógł dać wzamian za to, co on uważał za wartość życia?

Sprawa narodowa, jako nie dzisiejsza i będąca wielką ideą wcielaną i porywającą życie jednostki w wieczność, mieściła w sobie i jego świat wewnętrzny. To była jedyna twórczość, która go pociągała, a że stać go było na nią, tego dał dowody w potrzebie.

Zmarł wśród pamiątek, czciciel poetów i ludzi wielkiego lotu, wróg brutalności, entuzjastyczny obserwator dzieła tych, którzy budują cywilizację z ducha i dla ducha.

I nie zszedł ze świata bez śladu. Duch jego wcielił się w budowę gmachu, będącego najwyższą realnością.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

NAŁOGI NIEWOLNICTWA

W TYM samym czasie, kiedy organizowano akademję ku czci ś. p. posła Hołówki z udziałem „młodzieży białoruskiej, ukraińskiej i kaukaskiej", ukazał się w „Gazecie Polskiej" artykuł p. t. „Zaraza niewolnictwa", który zajmował się moim artykułem „Najmłodsze pokolenie przez pryzmat „Myśli Nowoczesnego Polaka". Artykuł ten jest tyle symptomatyczny, że warto się nim zająć bliżej.

Postarajmy się streścić go jego własnemi słowami. A zatem: „osławiony organ endecki" w „swej pracy destrukcyjnej" oddał „skrzywione pióro" „redaktorowi obwiepolskiego pisemka", które reprezentuje „antypaństwowe stanowisko O. W. P." i „szablon zgangrenowanej niewolą myśli".

„Wiedzieliśmy dobrze, że p. Dmowski był zawsze kamieniem na drodze Polski ku wolności" oraz, że „młodzi O. W. P. idą na pasku szumnych hasełek i frazesów" a także, iż, nie spełniły się pragnienia p. Dmowskiego, bo szkoła polska istnieje", a natomiast pozostał „jad, sączony przez Nowosilcowa i Apuchtina", a młode pokolenie jest zarażone „trądem renegacji", a przeto trzeba je zniszczyć „za wszelką cenę i wszelkiemi środkami".

Autor artykułu „Gazety Polskiej" jest, o ile mi wiadomo, piłsudczykiem już w drugiem pokoleniu, a zatem nie powinny dziwić nikogo przytoczone wyżej wyrażenia, albowiem stanowią one niewątpliwie jego domowy pacierz polityczny. Co wszakże skłoniło go do odnowienia tej „anafiemy"? — Następujące zdanie z mego artykułu: „Ten kult gestu i cierpiętnictwa żyje jeszcze w Polsce do dziś, niema go w najmłodszem pokoleniu. I tem się w dużej mierze tłumaczy wśród niego brak oddźwięku dla wspomnień legjonowych, a nawet dla powstań. Bo ono zawsze najpierw pyta się: w jakim celu"?

Dowiadujemy się z sanacyjnego organu, że jest to „myśl bluźniercza, która pluje na groby naszych ojców, szargając fundamenty ołtarza, na których stoi dziś wolna i niepodległa Polska". Poczem następuje wzmianka o „szubienicach i tajgach Sybiru".

Nie mam zamiaru brać lekcji kultu przodków od „Gazety Polskiej“, temwięcej, że jeden z moich dziadków został, za udział w powstaniu skazany na szubienicę. Ale nie o to chodzi. Idzie mi o inne zagadnienie. Dlaczego wolno krytykować politykę Kazimierza Wielkiego, a nie wolno krytykować polityki powstańczej? Dlaczego ten, kto twierdzi, że wyprawa wiedeńska była błędem, nie „pluje na groby naszych ojców“? Dlaczego nie jest „bluźnierstwem“ twierdzenie, że Zygmunt Waza działał w myśl interesów Watykanu, a jest „bluźnierstwem“ twierdzenie, że organizatorzy powstania 1830-go roku działali w myśl interesów Wielkiego Wschodu francuskiego?

Dlatego, że polityka w imię hasła „za naszą wolność i waszą“, a w gruncie rzeczy „naszą wolność za waszą“ jest to tabu.

Tam gdzie chodzi o samodzielną politykę polską, wolno krytykować, ale tam gdzie chodzi o rolę Polski, jako narzędzia cudzych interesów, krytykować nie wolno. Bo to jest „Czyn“ (przez duże C).

I tu sięgnę znów do „Myśli Nowoczesnego Polaka“.

„Niedorzeczności, które gdziendziej powtarzane są tylko przez stare panny i wogóle przez jednostki, żyjące poza społeczeństwem... u nas stanowią podstawę myślenia ludzi poważnych, kierowników opinji i przewodników pracy publicznej, którzy na nich budują sądy dziejowe i nadzieje polityczne“.

A obecnie w związku ze śmiercią posła Hołówki znów wyciągnięto hasła „za naszą i waszą“, za białorusów, ukraińców, kaukazczyków. Nie wolno pytać „w jakim celu“? Trzeba z zachwytem powtarzać: „Jak za Mochnackiego, jak za Wysockiego!“ Trzeba wierzyć, że powstania były „krwawym pomostem, wiodącym Polskę ku wolności“, a nie pytać przypadkiem, którędy?

„Gazeta Polska“ może być spokojna. Młodzież polska nie „pluje na groby ojców“, przeciwnie ze czcią uchyli głowy przed grobami nietylko tych z czwartego pułku czy oddziału Czachowskiego, ale nawet tych z pierwszej kadrowej. Ale nie pozwoli, by temi grobami przytłaczano samowiedzę polityczną narodu.

WOJCIECH WASIUTYŃSKI

NAUKA I LITERATURA

„PAMIĘTNIK ŚWIĘTOKRZYSKI“

MOŻNA oglądać w księgarniach wspaniały tom na welinie, bogato ilustrowany, podwójnego formatu zwykłej książki (stron 448): „Pamiętnik Świętokrzyski Rok 1930. Pod redakcją Aleksandra Patkowskiego“. Nakładu tego dzieła dokonały: Wydział wojewódzki w Kielcach i Sekcja regionalistyczna Związku nauczycielstwa polskiego z zasiłkiem Funduszu Kultury Narodowej. Łożył więc na nie skarb państwa z dwu źródeł i potężna organizacja społeczna. Lekko biorąc, koszt takiego wydawnictwa wyniósł około 50.000 złotych. Widocznie uznano doniosłość jego, skoro przed takim wydatkiem nie cofnęły się instytucje tak odpowiedzialne. Dzieło jest zapewne owocem ich porozumienia co do celu, treści i sposobu redagowania. Był czas na głębokie zastanawianie się, bo jak widzimy z listu Żeromskiego (1923), pracowano nad wydawnictwem od siedmiu lat.

Recenzent jest przytłoczony wysokim autorytetem wydawców, rozmiarami i ciężarem książki, której nie podobna dźwignąć, ani do oczu ustawić, wreszcie bogactwem materjału, nieraz doskonałego i poszczególnie bardzo interesującego, ale rzuconego w zupełnym bezładzie. Na całość składa się 60 prac, przeplecionych lub ilustrowanych 220 rycinami. Myśl recenzenta pracuje więc przedewszystkiem nad tem, aby sam w tym materjale się nie zgubił, więc żeby zrozumiał cel doboru i plan układu tego wielkiego materjału, bo wtedy dopiero będzie mógł wydać sąd o wartości dzieła.

Prace następują po sobie w ten sposób: Listy Żeromskiego, Św. Emeryk na Łysej Górze, Jan Kochanowski w Czarnolesiu, Poeci polscy o Kochanowskim, Granice gór Świętokrzyskich, Podziały administracyjne woj. Sandomierskiego do w. XVIII, Początki Kielc, Rozsiedlenie rodów rycerskich w woj. Sandomierskiem w wieku XV, Związki tajne w Świętokrzyskiem (XIX w.), Sandomierz w litografjach Wyczółkowskiego, dwa artykuły o Dygasińskim, Badania geologiczne nad górami Świętokrzyskiemi. A w ilustracjach nie tylko Świętokrzyskie, Kielce i Sandomierz, ale nawet krakowskie, radomskie, Częstochowa, jednem słowem wszystko, czem się pochwalić może dzisiejsze województwo kieleckie.

Co w tem jest Świętokrzyskiego? Jakiż to „regjon“ mieć musieli na myśli wydawcy i redaktor? W przedmowie napisano: „Inicjatorem powstania tej księgi był zachwyt dla złotopszennej niziny Powiśla, nawskroś jedynego Sandomierskiego płaskowzgórza“. Na drugiej stronie tejże przedmowy czytamy: „Intencją tej książki jest hołd dla ziemi, która wydała pierwszego wielkiego artystę — Jana Kochanowskiego“, a skąd też pochodzi Wes. Kochowski, St. Konarski, A. Dygasiński i St. Żeromski. Z listu tego ostatniego dowiadujemy się, że ideę dzieła powziął p. Patkowski z publikacji Żeromskiego „Snobizm i postęp“, że miało ono być poświęcone Sandomierskiemu. Żeromski się pyta: „Czy też praca Sz. Panów zapędzi się i w Świętokrzyskie?“ Robota, jak widać, rozrastała się, a ostateczną myśl nadał jej przypadek w postaci zapomogi od wojewody, dla którego zaokrągliło się granice „Regjonu“ granicami województwa.

Trzebaż trafu, że jednocześnie z ukazaniem się tego dzieła ogłoszono zapowiedź rządu, że województwo kieleckie będzie skasowane. Niechże się tak stanie, to wtedy zginie nawet ta formalna podstawa regjonalizmu „Pamiętnika“.

Wogóle należałoby ustalić, co nazywamy regjonalizmem i czego od niego chcemy. Mianowicie, co w tem literacko uczuciowem znaczeniu bierzemy za podstawę regjonalizmu? Inny przecież jest regjonalizm geologa, inny geografa, baczącego na rysunek powierzchni ziemi, inny etnografa, inny administratora, który dzieli kraj na opola, kasztelanje, czy województwa i ziemie, na diecezje, czy okręgi sądowe. Nasz regjonalizm jest w każdym razie antropogeograficzny, a potem humanistyczny. Za podstawę swoją ma jakieś ognisko i jego zasięg geograficzny w promieniu takim, jaki odpowiada kolisku zwykłych stałych z tem ogniskiem stosunków. Jest to mała ojczyzna, konkretnie ludziom znana, związana ściśle z przeżyciami naszemi od dzieciństwa, jednem słowem miejscowość, która staje w wyobraźni, ilekroć naciśniemy pojęcie: kraj. Regjon to człowieka widnokrąg, jeśli to pojęcie zastosujemy do wzroku duszy. Dla ludzi oświeconych i z wyobraźnią może to być krąg kraju szeroki, w każdym razie pierwiastek psychiczny jest wymiarem jego promienia.

Każdy ma swój regjon w duszy; ludzie danego ogniska zbiorowo uzgadniają te swe horyzonty w pojęciu regjonu, który w rezultacie odpowiada pojęciu raczej dawnej Ziemi, niż Województwa. Wszystkie inne regjony wykreślane są objektywnie; ten regjon, którym my dzisiaj w literaturze operujemy, oparty jest na pierwiastku subjektywnym. Pan Patkowski te dwa pojęcia połamał i zgubił myśl przewodnią. Główna komenda policji wojewódzkiej może wskazać granice województwa, ale co jej regjonalizm obchodzi tych, którzy regjon swój widzą z Sandomierza? Literat Żeromski kochał swój regjon Świętokrzyski i mógł się cieszyć z poczynań Sandomierzaków, ale stąd nie wynika, żeby pamiętnikowi

sandomierskiemu dawać dla uczczenia Żeromskiego tytuł Świętokrzyskiego. A gdyby nawet za podstawę w iąć dawne woj. Sandomierskie z XVIII w., to należałoby uwzględnić Lublin i Łuków. Że woj. Paciorkowski dał pieniędzy na ozdobne wydanie albumu województwa, to bardzo chwalebne, ale Żeromski miał na myśli co innego w swoim „Snobizmie i postępie".

Idea regjonalna ma szczęście do snobizmu większe niż do postępu. Gubernatorzy wydawali dawniej „Księgi pamiątkowe" swoich regjonów, ale na to niepotrzeba było inicjatywy literatów i nauczycieli. My ludzie tworzący cywilizację, pragnęlibyśmy wnieść do idei regjonów żywy pierwiastek, oprzeć ją na uczuciu przywiązania do miejsc, przez nas i naszą tradycję spsychizowanych, miejsc, z któremi s ę łączy uczucie bezpośrednie. Gdyby każdy został porwany przez taki swój widnokrąg do konkretnego obowiązku, cała cywilizacja odrazuby zyskała.

Ten pierwiastek moralny jest ważny. Regjonalizm nasz jest podmiotowy. Nie mamy prawa hodować regjonalizmów przedmiotowych, mających na względzie odrębność, chyba naukowo. Regjonalizm np. etnograficzny, tak nieraz popierany w widokach separatyzmu, jest wprost dla cywilizacj naszej zbrodniczy. A niechżebyśmy jeszcze zaczęli uprawiać — dzielnicowy (według kordonów rozbiorczych), ładna byłaby korzyść!

Poszczególnej prace z „Pamiętnika" są bardzo piękne. Do najcelniejszych zaliczam świetne studjum historyczne prof. Uniwersytetu Poznańskiego Kazimierza Tymienieckiego „Początki Kielc w związku z pierwotnem osadnictwem Łysogór". Natomiast, co tu robi na czele tomu notatka historyczna Diveky'ego o Św. Emeryku na Łysej Górze, trudno zrozumieć. Kilkadziesiąt stron poświęconych Kochanowskiemu w zbiorze krajoznawczym (przytem innego regjonu) jest niespodzianką, bo któż czekał na „Pamiętnik Świętokrzyski", żeby się dowiedzieć o Kochanowskim? Żeromskiemu zaś należało się coś więcej, jak „braterski" hymn Al. Janowskiego, godny jakiejś jednodniówki.

Całość robi wrażenie rzeczy nieprzemyślanej, zakrojonej ponad stan kompetencji. Zamiast iść na ilość i przepych, należało raczej pomyśleć, jak uprzystępnić wiedzę o „regjonie" szerokim sferom ludności tego regjonu. Oczekiwać tego należało od imprezy, obmyślonej (jak utrzymuje przedmowa) na kursach wakacyjnych nauczycieli szkół powszechnych. Ten sam materjał, przebrany, uzupełniony i usystematyzowany, w zwykłych tomikach rozszedłby się po ludziach szerzej, niż wielki tom albumowy, sprzedawany po 30 zł.

Z. W.

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO

Bardzo smutne wrażenie zrobił fakt usunięcia z katedry prof. Ignacego Chrzanowskiego z powodu stwierdzenia, że przekroczył granicę wieku, przepisanego dla profesorów (65 lat). Senat uniw. Jagiellońskiego domagał się przedłużania prawa wykładów; wniosek ten odrzucono. Prof. Chrzanowski jest w pełni sił i jest uniwersytetowi potrzebny. Świetny pedagog i pracownik naukowy był chlubą uniwersytetu krakowskiego. Prasa wszystkich obozów (oprócz sanacyjnego) zareagowała zdziwieniem i eburzeniem. Nie brak głosów, że kara ta spotkała naukę polską za to, że prof. Chrzanowski w recenzjach książek R. Dmowskiego podniósł tego pisarza politycznego do rangi wielkich pisarzy polskich, podczas gdy w obozie sanacyjnym ustalono, że ranga ta należy się „czynnikowi miarodajnemu". Pisano tam właśnie, że ten czynnik będzie wkrótce powołany na członka Akademji Umiejętności.

Oczywiście profesor literatury, który się na tem nie poznał, nie może być tolerowany. Wogóle tak zniechęcono się z tego powodu do historyków literatury, że katedr tych nie będzie się w przyszłości obsadzało, chyba żeby senat przedstawił kogoś z panegirystów sanacji. Kandydatów jest sporo. Narazie katedry po śp. Kallenbachu i po Chrzanowskim wakują.

„Gazeta Warszawska" (nr. 279) powtarza za „Robotnikiem" i „Naprzodem"

„ku wiecznej rzeczy pamiątce, że Uniwersytet Krakowski, ufundowany przez Kazimierza Wielkiego i Władysława Jagiełłę, upadek swój zawdzięcza Januszowi Jędrzejewiczowi i Kazimierzowi Pierackiemu".

To pewna, że jeszcze śp. Czerwiński tegoby nie zrobił. Nie, tylko że był uczniem prof. Chrzanowskiego i wielbicielem, ale wiedziałby, że taki akt nieufności względem społeczeństwa jest obrazą, nie dającą się usprawiedliwić.

RUCH WYDAWNICZY

Stanisław Małachowski-Łempicki wydał i opatrzył wstępem i komentarzami „Raporty Szpiega Mackrotta o Wolnomularstwie Polskiem w latach 1819—1822". Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa w Warszawie.

Raportów Mackrotta, pisanych po francusku, jak wydawca zaznacza we wstępie książki, znajduje się w Państwowem Archiwum Akt Dawnych przeszło czterdzieści woluminów. Zawód i talent szpiegostwa był w rodzinie Mackrottów niejako dziedziczny, gdyż szpiegostwo uprawiali Mackrottowie, ojciec i syn. Ojciec, fryzjer i perukarz warszawski, jeszcze przed powstaniem Kościuszki szpiegował dla generała Igelströma, a syn, uczeń konwiktu Pijarów a następnie student Uniwersytetu Warszawskiego, był szpiegiem na służbie wielkiego księcia Konstantego. Raporty wydane obecnie opisują wewnętrzne stosunki polskich lóż wolnomularskich i to w przełomowej dla nich erze rozłamu i upadku tego „zakonu". Poza tem dotyczyły tajnych poczynań posłów sejmu Królestwa Polskiego, „wyróżniających się liberalnym sposobem myślenia", związków akademickich, związku Kosynierów, i wogóle wszelkiej działalności narodowej, Raporty o wolnomularstwie spisują historję narzucenia przez rząd rosyjski wolnomularzom tak zwanej „Ustawy poprawnej", i wynikłych z tego powodu sporów między dwiema partjami: konserwatywną i demokratyczną, która chciała loże wolnomularskie od wpływów rosyjskich uniezależnić. W pierwszym rozdziale książki pod tytułem Policja za Królestwa Kongresowego przedstawia p. Małachowski-Łempicki w ogólnym zarysie organizacje policji tajnej, żandarmerji i policji municypalnej. Na czele policji tajnej stała zorganizowana przez senatora Nowosilcowa Wyższa Wojenna Policja Sekretna. Zaś twórcą i szefem korpusu żandarmerji w Królestwie był generał Rożniewski. Szpieg Mackrott jest czynny w tych organizacjach, przeważnie jednak zbiera na własną rękę spostrzeżenia z wszelkich przejawów norodowego życia w Warszawie. Przesuwają się w tych raportach nazwiska wybitnych ówczesnych Polaków, wyższych urzędników, księży, artystów i uczonych, obok charakterystycznych dla bieżących nastrojów politycznych, wierszyków i dowcipów. Ciekawa ta książka uzupełnia badania autora studjum „Wolnomularstwo na ziemiach W. Ks. Litewskiego", wydane w Wilnia Nakładem Tow. Przyjaciół Nauk. (A. W.)

*

Pamiętniki Stanisława Szumskiego „W walkach i więziemiach" z lat 1812—1848, z 17 ilustracjami, wydał Henryk Mościcki, w Wilnie nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego. Społeczne i towarzyskie stanowisko Szumskiego, marszałka szlachty i bardzo zamożnego ziemianina, upoważniało go do towarzyskiego współżycia z dygnitarzami państwowymi, i gubernatorami wojennymi generałami i senatorami, jak też do traktowania ich z góry, z akcentami ironicznej wyższości. Pośród nasyłanego z Rosji stanu urzędniczego zdarzali się Moskale uczciwi, którzy pod przymusem sprawowali swą służbę w obcym kraju, jednak większość starała się szykanami policyjnemi zasłużyć w Petersburgu na ordery i awanse, a przynajmniej załapać jak najwięcej grosza od znękanej niewolą ludności. Szumski kreśli różne ich typy i nastroje wsi i miasta. O ciekawem znaczeniu historyczno-naukowem są opisy pamiętnikarza, jako uczestnika wojny napoleońskiej na Litwie i w Rosji, pochodu i odwrotu armji, pożaru Moskwy i katastrofy nad Berezyną. Później kilkakrotnie więziony za udział w konspiracji, umiał się dzięki majątkowi i przyrodzonemu dowcipowi wykręcać z opałów, jak również umilić sobie rozrywkami nudę więzienia. Mógł po kilka dni dla załatwiania interesów opuszczać celę, w czasie zaś pobytu w więzieniu przyjmował wizyty znajomych pań i panów, tak że niekiedy ulica pod murami więzienia bywała zatłoczona powozami odwiedzających go gości, niczem ulica przed domem w czasie odbywającego się balu. Władzom rosyjskim imponowała swoboda obejścia Szumskiego, zręczność z jaką zacierał ślady swych politycznych przewinień, a najwięcej hojność, którą suto okupywał się przeciw śledztwom i procesom. Nigdy w całości nie zdołano mu niczego udowodnić, gdy zaś przebrała się miarka i na starość miał być, już po raz drugi, wywieziony na zesłanie w głąb Rosji, umiał sprytnie uzyskać amnestję. Pamiętnik „W walkach i więzieniach" obfituje w galerję po-

staci polskich działaczów narodowych, trafnie odmalowanych sylwet carów Aleksandra I-go i Mikołaja I-go, i różnych osobistości z wyższej rosyjskiej wojskowości i biurokracji. Spisywał te wspomnienia autor na prośbę rodziny, w późnym wieku. Czyta się książkę jego jak interesującą, sensacyjną powieść. Plastyka zdarzeń oddaną jest z talentem narracyjnym, świeżością i humorem. Podbija wiarą w przyszłość narodu. Pamiętniki wydane zostały starannie i ozdobnie. Wśród pamiętników z tej epoki zajmą wybitne miejsce. (A. W.)

*

W przebogatej twórczości Selmy Lagerlöff najciekawszemi i najpiękniejszemi są niewątpliwie powieści osnute na tle legend i podań rodzinnej Wermlandji. Powieści te dadzą się uszeregować w dwa cykle, z których pierwszy można nazwać „cyklem rezydentów z Ekeby" („Gösta Berling", „Ojczyzna Liliecrony"), drugi zaś, cyklem u Löwenskjöldów". Ten drugi ukończyła sędziwa poetka dopiero niedawno, to też jego przekład polski, wydany przez Bibljotekę Laureatów Nobla, jest dla nas nowością. Czytelnika polskiego znęcić może nietylko artystyczna wartość przekładu (dokonał go L. Staff), ale i osoba tak dobrze Polsce znanego Karola XII, który jest czołowym bohaterem pierwszego ogniwa trylogji („Pierścień generała"). O jego wojnach krążą między ludem szwedzkim różne podania, niekiedy pokrewne tym podaniom, jakie z czasów „dawnego Szweda" błąkają się jeszcze tu i ówdzie w Polsce. Z wojowniczym królem sławę dzieli jego generał, „silny Bengt" Löwenskjöld, otoczony nimbem legend zarówno za życia jak i po śmierci. Z wierzeń ludowych dotyczących jego osoby, najważniejsze wiąże się z tajemniczym pierścieniem danym mu przez króla. Pierścień ten, ukradziony z grobu przez złoczyńców, staje się — jak pierścień Nibelungów — przyczyną całego łańcucha nieszczęść, nawiedzających nietylko rodzinę Löwenskjöldów, ale i osoby zgoła niewinne. Pełna tragizmu i wyrazistości jest zwłaszcza opowieść o trzech ludziach, posądzonych o kradzież pierścienia, którzy z rozkazu króla rzucają kości, losując, kto ma śmierć ponieść; szczęśliwy rzut uniewinnia wszystkich trzech, co nie przeszkadza, że król każe ich stracić... (J. B.)

*

Świeżo wydana przez „Rój" powieść Wilhelma Speyera „Karolinka trochę zwarjowana" należy do rzędu pogodnych, z werwą i dowcipem napisanych powieści obyczajowych współczesnych Niemiec. Speyer zdobył sobie ostrogi pisarskie świetną powieścią: *„Der Kampf um die Tertia"*.

Karolinka jest młodą dobrze sytuowaną kobietą, pupilką berlińskiego high lif'u, dzięki swej żywiołowej wesołości i dobroduszności ma przyjaciół we wszystkich mężczyznach i, co ważniejsze, w kobietach. Po 8 miesiącach małżeńskiego współżycia z bogatym, miłym i nieprzeciętnym Justusem Verlob rozwodzi się z nim, bo prowadzi życie zbyt monotonne i nie lubi Berlina. Aż się pewnego dnia dowiaduje, że Justus stracił cały swój olbrzymi majątek. Postanawia wrócić do niego. Karolinka, bez luksusu jednak żyć nie może. Spadek ameryk. (1½ milj. dol.) ma otrzymać dopiero za 5 lat. By więc umożliwić sobie i mężowi odpowiednią egzystencję wpada na pomysł udawać nieboszczkę a swą spadkobierczynią ustanawia przyjaciółkę Kamilę. Lady Fisher, ta, która spadku wcześniej wypłacić nie chciała, bawi akurat w Paryżu. Tu odbywa się cała komedja, na której się Lady Fisher poznaje, ale mimo to spadek wypłaca.

Trzeba przyznać autorowi, że banalną zupełnie nić powieściową potrafił ukształtować ogromnie interesująco. Powieść czyta się z niesłabnącem zainteresowaniem. Prócz zalety książki pogodnej ma ona i tę, że naświetla w swoisty sposób Berlin współczesny. (A. J.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

W ZACHĘCIE otwarto szereg nowych wystaw. Dwie z nich zasługują na specjalną uwagę: wystawa malowideł Senrin Kirigaya, ze względu na swój egzotyczny charakter, pokaz prac Szczepu Szukalszczyków o znamionach, które niejednemu, na tle dzisiejszych prądów i poglądów panujących w sztuce, wydadzą się również „egzotyczne". Szczep jest dziełem Szukalskiego; on sam nazwał się nie nauczycielem, lecz mistrzem szczepowców i słowo to dosadniej i trafniej określa jego stosunek do uczniów, oraz ich wspólnotę duchową. Działalność i postać samego mistrza zbyt jest już znana, aby koniecznem było o niej pisać. Niektórych razi forma jego wystąpień, lecz ich treści nie można pokryć milczeniem, trzeba stać się jego wyznawcą lub ze swej strony mieć mu co przeciwstawić. Oto co mówi Szukalski o sobie: „cały sekret leży w mojej dramatyce. Nie umiem się ruszyć bez niesienia za sobą dramatu. Dramatyczność zaś jest cechą bohaterskości, a jest naturalnem falowaniem silnych uczuć i niezłomnego poczucia swej racji". A o publiczności: „dramatyka jest jedyną przepustką, która zezwala na wniknięcie do sentymentu publicznego. Publika jest stęskniona za heroiką, bo tylko po niej poznaje ona wybrańców swoich"... Istotnie potężna sztuka Szukalskiego zawiera w sobie pierwiastek dramatyczności, dzieła wielkiego rzeźbiarza budują polskość, o nią walczy również w swych wystąpieniach publicznych. Niebezpieczeństwo widzi w zalewie naszej sztuki przez internacjonalizm paryski, wyprany doszczętnie z jakichkolwiek wartości twórczych. Dlatego jest przeciwnikiem Akademji krakowskiej, która, niepomna na piękne tradycje, jest dzisiaj jakby filją Paryża. Dlatego w gwałtownym ataku wystąpił przeciwko krytykom w znanej broszurze: „Czas na was krytycy, zawodowi rajfurzy Zachodu!"

Jego hasła, idee przez niego głoszone, poparte przykładem własnej potężnej twórczości zjednały i jednają mu zwolenników i zachęciły młodzież do pracy w myśl wskazań mistrza. Tak powstał Szczep Szukalszczyków herbu „Rogate Serce". Jak się odbywa nauka? Spytajmy o to nauczyciela.

„Szczepowcy tworzą od pierwszego dnia przystąpienia do Szczepu, pracują wedle kilku wskaźników: jakie im zostawiłem. (Szukalski przebywa obecnie w Kalifornji, przyp. mój). Nie wolno im żadnych studjów z natury czynić [1]) każdy młodzieniec krępej budowy może zostać Szczepowcem nie na podstawie „talentu", którego ta metoda twórczości nie uznaje, lecz wskutek pracowitości. Metoda twórcowniana uznaje tylko mądrość jako jedyny talent, jaki człowiek może mieć... Szczep, Rogate Serce, niema nawet pokoiku, by razem pracować. Każdy chłopiec w domu pracuje, bez niczyjej pomocy, krom tej, jaką czerpie ze słów moich wypowiedzianych półtora roku temu. Z za oceanu nimi kieruję. Sami nałożyli na siebie dyscyplinę posłuszeństwa moim wskazaniom. Cóż ma do zdziałania Szczep ze swym mistrzem na czele? „Chcemy, by sztuka polska zastąpiła „Sztukę w Polsce" — w tem powiedzeniu najdobitniej streszcza się ich idea.

Opowiedziawszy o Szczepowcach. co zacz są i skąd ród swój swój wywodzą, zkolei informuję o samej wystawie.

Jest to pokaz prac dziesięciu chłopców, plon dwuletniej nauki. Najstarszy z nich ma podobno 23 lata. Trzeba o tem pamiętać przy oglądaniu rysunków. Pełni zapału, niedawno zaczęli, uczą się dopiero, ale idą tak dzielnie i drogą tak piękną, iż nikczemną małostkowością byłoby wypominanie im młodzieńczych błędów i naiwności; to co słabe w ich pracach — przeminie, co dobre, zostanie i wzrośnie. Już teraz wśród rysunków odnajdujemy dzieła b. wartościowe np.: „Ona", „Smutek" (Konarski), „Potęga bólu" (Strassberg) „Michał Anioł" (Żechowski). Wszyscy są rysownikami ze skłonnością do rzeźbiarskiego traktowania formy (wpływ nauczyciela), znać wyraźnie dążenie do monumentalności, mimo przeważnie niewielkich rozmiarów prac.

W ten sposób kształtują Szczepowcy treść, zamkniętą w prostokącie kompozycyj. Jakaż to treść? Wystarczy porównać spis ich prac z podobnym spisem w katalogu jakiejkolwiek wystawy, aby stwierdziś różnice. Szukalszczycy wyszli z zaczarowanego kręgu portretów, aktów, martwych—natur i pejzaży, minęli zręcznie położony kleks, jako cel ostateczny sztuki, i idą dalej. Sięgając po buławę marszałkowską. A my, czyż mamy się przyglądać obojętnie?

---

[1]) Czy to znaczy, iż Szukalski pozwala im rysować tylko z wyobraźni i pamięci?

P. S. Ponieważ na wystawie nie udało mi się skomunikować ze Szczepowcami, tą drogą proszę o porozumienie się ze mną. W. P.

*

W Muzeum Rzemiosł i Sztuki Stosowanej (Chmielna 52) odbyła się wystawa prac uczniów Dziennej Szkoły Zdobnictwa i Kursów Wieczornych. Szkoła, acz nie wolna jeszcze od wielu usterek w nauczaniu, rozwija się z roku na rok, wykazując stałe postępy i zasługuje przeto na troskliwszą, niż dotychczas, opiekę Ministerstwa W.R. i O. P.

OFENSYWA

KPIARZ „W OBRONIE" KPIARZA

KIEDY półtora roku temu „Teatr Polski" przystąpił do wystawienia sztuki Bernarda Shaw'a: *The Apple Car* „Wózek z jabłkami", („Cesarz Ameryki?), przed premierą wynajęte obieżysasy i pędziwiatry prasowe skomponowały jakieś bezczelnie powykręcane i zełgane wywiady z autorem i puściły na Warszawę obłok smrodliwego gazu bajd i bujd... Że niby G. B. Shaw okropnie się zakochał w sanacyjnej *Poland*, że do centralnych figur z nad Wisły i z Powiśla żywi głęboki afekt i strzelisty kult, że sztuczka napisana specjalnie na nasz użytek domowy, że radby poznać wnet pp. Sławka, Prystora, Kurzydłę, Kostusia, Szymanosia, Bandurę, Sanojcę, i kilka sztuk Radziwiłłów, że lada moment do Warszawy na dłuższy czas zjedzie, żeby się ludźmi nadelektować a metody i przyrządy rządzenia narodem zbliska sobie obejrzeć.

Bluff takowy aranżował z Londynu inż. Littauer a w szwindlu maczało palce kilku podwładnych mu Lechitów, z niejakim p. Sobieniowskim na czele. Ten p. Sobieniowski (brat osławionego w Polonji amerykańskiej księdza a karjerowicza sanacyjnego), dobry sobie tłumacz, ale kiepski makler literacki, pędzący lekko żywot jako ambasador i komiwojażer G. B. S. na Polskę, noszący w portfelu przez kilka lat autentyczne listy, wymięte i wymazane przez tysiąc adoratorów, nie tylko nie zaprzeczył publicznie temu oszustwu z autorytetem G. B. S., ale dawał do poznania, że istotnie tak się „rzeczmacała".

Starszy pan z Adelphi-Terrace oczywiście natomiast Littauerskiej bladze zaprzeczył, ale sztuka miała w Warszawie duży sukces, a rozmaite groteskowe matadory, zaimprowizowane mandaryny i obwieszone blaszkami „centusie" i „padamdonóżki" uważały za stosowne pompatycznie asystować spektaklom satyry, w której najbardziej wykpioną była figura, nazywająca się „Józio Proteusz", ex-socyał, intrygant samochwalca i premier. W Europie sztuka miała powodzenie liche, w Anglji żadnego, w Ameryce padła, a wszędzie frekwencja składała się w 95 procent z wiernych Shawowi żydów.

W tym roku na wiosnę zrobił 75 letni *grand old man* „światu" nową „niespodziankę", od czego jest i był zawsze genialnym specjalistą? G. B. Shaw pamiętał dobrze, że Anatol France, aby asekurować swoją nieśmiertelność na cały wiek XX, w ostatniem swem dziesięcioleciu przy każdej okazji zgrywał się jako komunista... „ideowy"; w każdym calu mieszczuch, merkantylista, *businnessman*, sybaryta, smakosz, żyjący życiem zbogaconego epiciera, kolieksjonista drogich bibelotów, w twórczości swej hedonista, poganin, patrycjusz, który jednej nocy nie przetrwał w przytułku z proletami „brudnymi i śmierdzącymi", jednem słowem: „Petronjusz". Na stare lata, gdzie mógł podpisywał „protesty" razem z komunistami, byle się tem skandalizowano, byle o starym zdezelowanym intellekcie nadal mówiono, byle nie tracić protekcji *juiverie* międzynarodowej.

G. B. Shaw zatem byle także być *en vogue* permanentnie, byle drażnić do ostateczności ospałą opinję angielską, jak pod wielu innymi względami tak i pod tym względem zdecydował się naśladować taktykę starczą „tenora", który traci głos i więdnię, autora „Wyspy Pingwinów".

Ubiegł go co prawda w tej fincie inny wielki pisarz angielski, który te sprawy traktował i traktuje zawsze poważniej, sumienniej, solidniej i głębiej tj. H. G. Wells; w ostatniej swej powieści: „Samowładztwo mr. Tarhama", znakomity choć mało w samej Anglji popularny autor tylu, tylu „antycypacji" wyraźnie i dobitnie oświadczył się też za Sowietami, wyszydzając z ostrą „*mental cruelty*" staroświecką stęchłą, i marazmatyczną *merry old England*, uopersonifikowaną w pedelu Oxfordzkiego uniwersytetu, który zostaje dyktatorem W. Brytanji, lordem Parhamontem, stacza wojnę z Ameryką, poczem kres błazenadzie kładzie Kolos sowiecki i rewolucja światowa (wszystko jako sen)

G. B. Shaw, majster pyrotechniki ideowej postanowił sobie Wellsa przewellsować. I kiedy na wiosnę b. roku w Londynie otwarto imponującą wystawę fotograficzną sowiecką, G. B. Shaw na wernissażu miał mowę, w której (wedle pansemickiego „Manchester Guardian) powiedział:

> „Wyznaję poglądy o wiele bardziej krańcowe niż Rosja Radziecka. Właśnie w tych dziedzinach, gdzie się ich najbardziej potępia, jestem zdania, że postępują zupełnie słusznie, i że unikają wielu czynności, które my wciąż hodujemy z przyzwyczajenia, póki ostatecznie nie zniszczymy całej naszej organizacji. Zachowaliśmy się w stosunku do Rosji zgoła bezwstydnie i rozpowszechniali o niej najobskurniejsze oszczerstwa itp. itd.

Poczem, gdy taki *speech* wywołał zbyt wielkie oburzenie w brukowej prasie zawsze G. B. Shawem (paradoksiarz sensacjonista) gorąco się interesującej (jako, że gratisowo materjału *scandalous* i *schocking* dostarczającym), „starszy pan" swojem zwyczajem znów o dwa kroki się cofnął i dał Anglikom dla odmiany kilka cukierków.

W wywiadzie z również pansemickim „*New-York Times*" (Ochsy), w którym zapraszano go do Ameryki, odpowiedział co następuje:

> „Uważam podróż do Stanów Zjednoczonych za zupełnie bez celową. Przed 30 laty zostałem poraz pierwszy zaproszony do Ameryki. Od tego czasu otrzymuję co rok zaproszenia. Jednakże postanowiłem z nich nigdy nie korzystać. Amerykanie znają świetnie moje książki, sztuki teatralne, satyry i przemówienia. Widzieli mnie również w filmie mówionym, a więc słyszeli, jak przemawiałem, oraz znają mój wygląd zewnętrzny. Nie znam nowoczesnych systemów reklamy i pod tym względem przewyższa mnie znacznie najmniejszy amerykański businessman. Wiem, iż mógłbym się w waszym kraju jeszcze wielu rzeczy nauczyć. Ja jednak nie pragnę tych nauk, gdyż nie są mi one zupełnie potrzebne. Pozatem jestem przeświadczony, iż w Ameryce byłbyym zupełnie inaczej potraktowany, niż w Anglji, Amerykanie nie posiadają cech angielskiego gentlemana, są to ludzie interesu. Dla nich niema żadnych tajemnic i zostałbym niewątpliwie, natychmiast zdemaskowany! Przestałbym w ich oczach uchodzić za „mądrego irlandczyka", gdyż poznaliby we mnie zaraz rdzennego anglika. Zdradzałby mnie przedewszystkiem mój nieskazitelny akcent angielski. Ludzie tego pokroju, co ja, nie potrafią znaleźć się odpowiednio na gruncie amerykańskim. Amerykanie wierzą święcie temu wszystkiemu, co mówię o anglikach, znajdując się w oddaleniu od Stanów Zjednoczonych, w ojczyźnie mojej zaś nikt mi nie robi z tego powodu najmniejszych zarzutów. Gdybym zaś przybył do Ameryki i odważył się tam powiedzieć co myślę o jankesach, niewątpliwie znalazłbym się w niemiłym kontakcie z policją".

I dopiero na tle tego wywiadu o Ameryce, (przeciw Ameryce), należy przeświellić rakiety puszczone w Moskwie przez skabotynizowanego profetę. I jeszcze trzeba dodać, że dzielny i dziarski staruch nie tak dawno bawił w Palestynie, gdzie stawił się grzecznie i statecznie na zaproszenie Syonistów i gdzie był gościem w pałacu nad Tyberjadą lady Erleigh, córki słynnego Schylockraty niklowego Alfreda Monda, uszlachconego na lorda Melchetta. Jak tedy rozmaici arystokraci rasowi (Deswonshire, Warwich i t. p.), tak samo i ten arystokrata intellektualny, znudzony szarzyzną aryjską na starość zżydział, i zsemityzował się w olbrzymim procencie. Drażnią go żydy, irytują, epatują, ale jednak go bawią jako Potęga, jako mysz igrająca z olbrzymim kocurem, jako ichneumon czychający na grzechotnika, jako Dawidek zwalający z nóg Goliata, jako Judyta odcinająca łeb Holofernesowi; widowisko bajecznie dziś frapujące bo z aktualnych najaktualniejsze.

W Londynie od kwietnia wychodzi codziennie pismo sowieckie: „*Moscou-News*", które stary pan stanowczo musi czytać.

Na biurku G. B. Shawa w studio pałacyku przy *Adelphi Terrace* musi między innemi leżeć książka wybitnego angielskiego krytyka Huntly Cartera p. t.: „*The New Spirit in the Russian-Theatre* (1917—1928), w której ten *quitt englisch* esteta entuzjazmuje się ekstatycznie reformami Wachtangowa, Meierholda, Tairowa i innych; podczas, gdy żydóweczka Nina Garfunkel w paryskim miesięczniku, w artykule *La Theatre Russe Contemporain*, aby podchlebić Francuzom (notorycznie bagatelizującym „barbarzyński" geniusz Shawa) odsądza ten Teatr nowy i nowych autorów od wszystkich talentów i zdolności.

Z takimi to predyspozycjami jechał ten najgenialniejszy z tez — grafomanów do Sowietów.

W Moskwie fetowany, obkadzany, obwożony, otoczony przez Słonimskiego, Selwińskiego, Tołstoja, Łunaczarskiego i innych panów z F. O. S. P. U. (zapewne i biedny Demian Biedny asystował) w teatrach widział może prześwietnie grane i inscenizowane *„Łozunga niet!"*, może „Purpurową Wyspę" Bułgakowa, satyry ostre, śmiałe, wyzywające (o których u nas *mutatis mutandis* aniby marzyć), no i podekscytowany tem wszystkiem palnął sobie kilkadziesiąt s h a w i z m ó w, czyli K o m u n a ł ó w (bo o komunie), irytująco płytkich, całkiem nie paradoksalnych, typowych (u wszystkich, co tam jeżdżą), typowo burżujskich i anglosaskich.

Najbardziej interesujące to jest tylko to, co mówił o żydach i ich megalomanji. Jeszcze bardziej zaś interesującem jest, jak na to replikują... żydzi.

Żargonowe warszawskie *„Najes"* tak odpowiada Shawowi, a każde tu słowo kłaść nam na wagę złota:

„Ta myśl Shawa nie jest dla nas z pewnością nowa, a o jego radzie wiemy oddawna. Wszyscy nasi dawni „maskilowie" (oświatowcy asymilacyjni) wydrwiwali nasze „wybrańswo". U żadnego narodu na świecie nie jest tak rozwinięte uczucie samokrytyki, jak u nas żydów. O tem świadczy dobitnie nasza nowa literatura, a przedewszystkiem dowcip żydowski, który tchnie zawsze szyderstwem i ironją względem siebie... To też brzmi dla nas poprostu komicznie, gdy słyszymy tego rodzaju zarzuty od pisarza angielskiego, od syna Albjonu, narodu, który wierzy, że tylko Anglicy powołani są do panowania nad światem. Ja zaś muszę się przyznać, iż nie znajduję w tem nic złego, gdy naród ceni siebie wyżej od wszystkich innych narodów. Goethe kiedyś powiedział: „tylko gałgany są skromne". Zasada ta ważna jest także dla całych narodów. B i a d a n a r o d o w i, k t ó r y u t r a c i ł w i a r ę w s i e b i e, w s w ą w i e l k o ś ć, w s w e p o s ł a n n i c t w o b o s k i e, w s w e w y b r a ń s t w o".

W „Naszym Przeglądzie" zaś beszta G. B. Shawa pseud. „Nick":

„Bernard Shaw znany jest ze swego zamiłowania do paradoksów. To zamiłowanie musiało wzrosnąć, gdy odwiedził Sowiety, ten kraj największego na świecie paradoksu, gdzie po najwsteczniejszym ustroju carskim zapanował najradykalniejszy ustrój bolszewicki. Nie dziw że i o żydach Shaw wypowiedział piramidalny paradoks:

„Żydzi nie cierpią na kompleks małowartościowości, lecz na kompleks dużowartościowości".

Innemi słowy, całe nieszczęście żydów polega na tem, że zabardzo w siebie wierzą, że uważają siebie za „naród wybrany". Mój Boże, c o z a m a ł a z n a j o m o ś ć ż y d ó w. Być może, że niegdyś tak było, ale od bardzo dawna tę „wadę" żydowską przejęły wszystkie inne narody. Zaiste, który naród nie uważa siebie obecnie za wybrany? Przedewszystkiem uważają siebie za wybrańców Anglicy, którzy wierzą, że są jedynie powołani do panowania nad światem. Niemcy swoje wybraństwo wykładają jawnie i cynicznie w piosence: *„Deutschland, Deutschland uber alles, uber alles in der Welt"*. Ostatnio i Francuzi uważają siebie za naród wybrany, bo twierdzą, że im wolno się zbroić, gdyż ich militaryzm jest pacyfistyczny, podczas, gdy militaryzm państw pokonanych jest militaryzmem wojowniczym. Włosi poczytują siebie za spadkobierców starego Rzymu. Polacy przed wojną uważali siebie za „mesjasza narodów", i zapewne również obecnie nie wyrzekli się swego posłannictwa".

Dostało się więc i G. B. Shawowi, który niedawno pielgrzymował do sjonistycznej Jerozolimy i Izra-Elicie przez 75 lat jak mógł tak zawsze kadził. Raz się ośmielił i to w stolicy Sowietów (!) akurat tam (!) palnąć rozkraczonemu na globie żydostwu słowa prawdy o *superiority complex* (o obłędnej pasji zapanowania nad światem) i dostał po czubie, a z nim i Anglicy, Niemcy, Włosi i Francuzi, o których rozbrojeniu i pokonaniu marzy imperjalizm pansemicki.

Już choćby za te słowa, wypowiedziane o żydach w stolicy tego dawnego imperjum, które oni stoczyli i zwalili, i w stolicy tych Stanów Słowiańskich, z której teraz są systematycznie usuwani, już za tą twardą mowę, jaką „starszy pan" miał do żurnalistów żydowskich, zasłużył G. B. Shaw na „obronę".

No, a co do tego polskiego „M e s s j a s z a n a r o d ó w" jeszcze, to czasem się wydaje nawet racjonaliście, że w tej allegorji romantycznej tkwiła jednak realna, rzeczywista prawda.

Czyż nie krzyżujecie na inny sposób nas i teraz, judząc ciągle jednych Polaków na drugich, na Endeków, na chłopów, na Wielkopolan, na katolików? Czyż nie pochwalacie sprawców za „pogromy narodowców"? Czyż nie jesteście tą ręką niewidzialną, tajemniczą... (*hidden hand* nazwali Anglicy), która kierowała często ś l e p y m m i e c z e m „Sanacji"?

Że ze stolicy Sowietarchji *(Jewrejskoje Prawitielstwo, Semodierżawie)* zgromił genjalny latarnik megalomaniactwo izra-elity, to to jest najważniejsze! I w tem tkwi też motyw gwarantujący mu nieśmiertelność.

Która zresztą od czasów Einsteina pojęciem jest też względnem.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Prof. Z. Jundziłł na akademji ku czci ś. p. Hołówki w Wilnie wygłosił poetycką mowę, którąby się chciało w całości na tem miejscu przedrukować. Są tam takie kwiatki:

„Z całym entuzjazmem gorącego patrjoty, z instyktowną siłą jasnowidzenia, z nieustępliwą wiarą, miłością i oddaniem walczył Hołówko na szerokiej arenie politycznej o ten kult dla wielkiego człowieka, o tę uległość silnej władzy, którą mocną dłonią On ujął. Działalność jego polityczna w tym okresie jest ideą tą przeniknięta nawskroś. Lecz o b o k n i e j r o z k w i t a umiłowane przez zmarłego wielkie, tragiczne zagadnienie Polski".

Obok niej!.. Dobre i to.

*

W tejże mowie prof. Jundziłł, doprowadzając do zenitu entuzjazm na widok duszy ś. p. Hołówki, mówił:

„A w sercu tuli się gorący żal, a w sercu brzmią przedziwne smętne tony, które aureolą poezji otaczają postać zmarłego. Dlaczego?

O, bo dusza polska nie składa się tylko z potęgi, energji, woli, wysiłku, z niemego poświęcenia i cichej ofiary. Dusza polska ma drugą swą przepiękną stronę, potęgę uczucia i fantazji, p o g a r d ę p o z i o m e j r z e c z y w i s t o ś c i, szalony rozpęd myśli i dążeń, wiecznie płonące serce, tę wielką moc, co świat cały zwie romantyzmem.

Romantykiem był Mickiewicz, romantyzmem przesiąknięte było życie szeregu pokoleń i w r a c a j e g o f a l a z p o w r o t e m".

O jej, co też w tem Wilnie wyplatają! Można tak kadzić umarłym, ale „dusza polska" żyje, naród żyje. Raz go nazywacie „narodem idjotów", to zwowu plotki o jakichś nadziemskich „potęgach", „szalonych rozpędach myśli", „pogardzie rzeczywistości"... Dajcie pokój duszy polskiej!

*

Opowiadano o fakcie, że przed wojną odnaleziono w głębi Polesia osadę, gdzie ludność nie wiedziała jeszcze o rozbiorze i myślała, że rządzi król polski. Ale stokroć więcej musi nas zdziwić, że w r. 1931 „Kurjer Wileński" pisze:

„Musimy pamiętać... zwłaszcza my, tu, w z a b o r z e r o s y j s k i m"... (nr. 205, str. 3).

Jeszcze się nie przyzwyczajono do Polski — i to w piśmie, które w Polsce chce gospodarować.

BŁĘDY DRUKU. W artykule Konińskiego „Rusałki Dniepru" w nr. 43 wskutek nieczytelności rękopisu zaszły nast. omyłki: Na str. 143 kol. 1 w. 35 powinno być p r z e ż y ć (zam. przejść), w. 42 a k t u a l n e (zam. astralne), str. 144 w. 2 z a s a d z i e (zam. zarazie), kol. 2 w. 11 f i z j o l o g j ą (zam. filozofją), w. 13 od dołu t a j e m n i c z a (zam. tajemnice).

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.